NIEDZIELA

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA LUDU POLSKIEGO W AMERYCE

№ 36. DETROIT, MICH., 3-go WRZEŚNIA 1893 ROKU ROCZNIK III

REDAKTOR KS. PAWEŁ ĆWIĄKAŁA.

Pismo aprobowane przez JW. Biskupa J. Foley'a z Detroit

KALENDARZYK TYGODNIOWY.

3	Wrześ.	N.	Joachima.
4	,,	P.	Rozalii p.
5	,,	W	Urbana pap.
6	,,	Ś.	Zacharyasz.
7	,,	C.	Reginy p.
8	,,	P.	Nar. N. M. P.
9		S.	Gorgoniusza.

Listy i przedpłatę

WYSYŁAĆ NALEŻY POD ADRESEM:

The Polish Weekly

„NIEDZIELA"

DETROIT, MICH.

POLISH SEMINARY,

Cor. St. Aubin and Garfield Ave's.

PRZEDPŁATA WYNOSI:

	Rocznie	Półr.	Kwart.
W Stanach Zjedn.	$ 2.00	$ 1.00	50 c.
W Austryi.	5 złr.	2.50złr.	1.25.
W Niemczech.	10 mk.	5 mk.	2.50.

Entered at the Detroit, Mich., Post Office as second class Mail matter.

A. POSSELIUS & CO.

FABRYKANCI I SPRZEDAWCY

MEBLI, DYWANÓW, POŚCIELI,

Woziki dla dzieci

Meble wyściełane.

robią na obstalunek

Meble Offisowe,

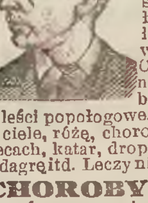
KANTORY, PÓŁKI, LODÓWNIE.

414 do 418 Gratiot ave.

Tel. 2219 Detroit. Mich

Dr HAM

618 MADISON ST., TOLEDO, OHIO.



Leczy wszystkie choroby zastarzałe, a mianowicie: Duszność, spazmy, paraliż, dychawicę, niestrawność, reumatyzm; ból głowy, uszu, ócz i nosa; choroby żołądka, gardła, piersi, kanałów odchodowych; febrę, wyrzuty na głowie i skórne. Choroby maciczne, zboczenia regularności, krwiotok, białe upławy, niepłodność, Boleści popołogowe, puchlinę, rany, otwory na ciele, różę, choroby kiszek, ból krzyża i w plecach, katar, dropsyę, neuralgię, bronchitis, podagrę itd. Leczy niewiasty dzieci i mężczyzn.

CHOROBY ZARAŹLIWE

organów generacyjnych obojga płci, albo przekazane z rodziców, leczy prędko itak że się nigdy nie powtórzą; sekret ściśle zachowany.

PORADA DARMO! Chorzy nie powinni się ociągać, ale natychmiast udać się po radę do D-ra Ham;—on nie żąda zapłaty z góry, tylko aż pacyenta wyleczy. Pacyent płaci tylko za lekarstwo.

Dr Ham wyleczył już tysiące ludzi, którzy długo cierpieli, a przez innych lekarzy nie mogli być wyleczeni. Ludzie ci wszędzie rozgłaszają imię Doktora Ham i znajomym go polecają. Udajcie się do niego to was wyleczy.

Opiszcie swą chorobę, podajcie wiek, przyślijcie w liście trochę włosów i 2centową markę pocztową, to natychmiast dostaniecie odpowiedź. Można pisać po polsku, angielsku, niemiecku lub francusku. Adres taki:

Dr C. B. HAM,

618 Madison st., Toledo, Ohio.

Najpiękniejsze i najtrwalsze fotografie par ślubnych, grup weselnych i familijnych, niemowląt i dzieci od komunii św. wykonywa jedyna **Polska Fotograficzna Galerya**

J. SOWINSKIEGO I S. PIOTROWSKIEGO, 867 RIOPELLE UL.

POCHMURNE DNIE TAK DOBRE JAK SŁONECZNE.

WESELA!

DR. PIOTRA

GOMOZO

jest uwazane za jedno z najlepszych lekarstw tego peryodu. Oczyszcza krew, nadaje odnowioną żywotność, wykorzenia zarodki choroby z ciała, gdyż przyczynia się do tego, że wszystkie organy znajdują się w dobrym stanie do działania. Medycyna jest przygotowaną z przeszło trzydziestu różnych gatunków ingredyencyj, głównie z roślinnego królestwa i była znaną i w użyciu przez przeszło sto lat. Używano ja z wielką korzyścią w wszystkich ogólnych teraźniejszych dolegliwościach, a zwłaszcza w tych, które pochodzą z krwi i chorego żołądka jako to:

Zatwardzenie, Ból głowy, Dolegliwości wątroby, Żółciowość, Żółtaczka, Reumatyzm, Wodna puchlina, Trudność trawienia, Niestrawność, Gorączka, Róża, Pryszcze, Febra i ograszka, Szkrofuły, Strupy, Świerzbiączka, Glisty, Liszaj, Wrzody, Wyrzuty, Rakowe wyrośnięcia, Bóle i rany, Bóle w systemie kości, Wychudnienie, Dolegliwości niewiast, Słabość, Bronchitis, Żarnice, Ból w krzyżach, Zawrót głowy, i t. d.

GOMOZO nie jest medycyną patentową, też nie sprzedawają jej aptekarze; lecz mężczyzni i niewiasty, którzy używając je, zostali wyleczeni, spowodowani przez wdzięczność dla doktora, i przez życzenie, aby i ich współtowarzysze odnieśli korzyść, działają jako jego agenci i w ten sposób mogą go dostarczyć ludziom cierpiącym w oddaleniu.

Jest nieocenionem jako lekarstwo domowe a mianowicie w miejscowościach położonych bardzo daleko od lekarzy i aptek. Lekarstwa tego nie można dostać od aptekarzy, lecz tylko od miejscowych agentów. Jeżeli nie ma agenta w waszem sąsiedztwie, piszcie po bliższe szczegóły do

Dr. Peter Fahrney,

112—114 S. Hoyne Ave., Chicago, Ills.

TELEFON 1491

BRACIA GRINNELL

SKŁAD

FORTEPIANÓW

i

ORGANKÓW



Stołki, nakrycia, nuty i przybory muzyczne.

228 WOODWARD AV. DETROIT MICHIGAN.

$50.00

Do wyboru 10 fortepianów tylko po $50.oo

$20.00

Do wyboru 4 organki tylko po $20.oo

$10.00

Do wyboru 4 dobre melodyony tylko po $10.oo

☞ Wyprzedajemy tak tanio aby mieć miejsce na nowe fortepiany i organki, które już są w drodze.

Wszystkie te wyżej wymienione instrumenta zostały odnowione i są w dobrym stanie.

Warunki kupna:

$ 5.00 z góry i po $ 3.00 miesięcznie.

Bracia Grinnell

228 Woodward Ave.

☞ Przyjdźcie jak najprędzej aby wybrać najlepszy instrument.

FLINT I PERE MARQUETTE KOLEJ

CZAS KOLEJOWY;

Opuszcza Detroit o godz.8. 30 rano; 1.35 po południu; §6.10 po połud.; §2.45 rano.

Przybywa do Detroit o godz. 11.00 rano; 3.30 po połud.; §9.35 wieczorem; §2.35 rano.

Pociągi oznaczone § są codzienne.

Flint i Pere Marquette (F. i P. M.) kolej jest prostą drogą z Detroit do Saginaw, Bay City, Ludington, Manistee, Mich. i do Milwaukee i Północo-Zachód

H. F. MOELLER District Passenger Agent
No. 11 Fort St. W. Detroit, Mich.

DETROIT GRAND HAVEN & MILWAUKEE KOLEJ

STACYA PRZY BRUSH ULICY.

Opuszcza Detr.	Od 9 Lipca 1893.	Przyb. do Detr.
$ 6.40 rano	(Saginaw Valley, Muskegon, Gd. Rap.)	* 9.25 wiecz.
$10.40 rano	(Gr. Haven i Chicago express)	$ 4.05 p. p.
4.05 p. p.	(Milwaukee Saginaw i Gr. Rapids ex.)	$ 11.50 ra.
5.55 p. p.	(Pontiac Suburban)	* 8.15
* 8.00 p. p.	(§ Chicago express sypialny)	* 7.40 rano

* Codziennie $ Za wyjątkiem Niedzieli.

Pociągi opuszczające Detroit o 6.40 rano, 10.40 rano i 8.00 wieczorem łączą się w Durand z Chicago i Gr. Trunk pociągiem idącym do Chicago i na zachód i z C. S. i M. Ry. do Saginaw i Bay City. 4.05 p. p. express ma parlor car Gr. Haven. Chicago express ma Pullman sypialne wagony i bufetowy wagon do Chicago.

NIEDZIELA

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA LUDU POLSKIEGO W AMERYCE.

N. 36. DETROIT, MICH., 3-go WRZEŚNIA 1893 ROKU ROCZNIK III.

REDAKTOR KS. PAWEŁ ĆWIĄKAŁA.

Pismo aprobowane przez JW. Biskupa J. Foley'a z Detroit.



NA ŁĄCE.

Pan Jezus jest wszystek nasz, wszystek dla naszej miłości.

Pan Jezus naszą jest własnością, stosuje się we wszystkiem do naszych potrzeb, daje nam z siebie samego wszystko, cokolwiek przyjąć jesteśmy sposobni. Kocha nas miłością jakiej żaden język wyrazić nie zdoła; kocha nas ponad wszystko, co rozum nasz pojąć, a wyobraźnia wystawić sobie potrafi; zniża się nawet do pożądania, z zapałem równie żywym, jak Jego miłość, abyśmy Go kochali i w nim skupili całą żarliwość uczuć naszych. Zasługi Jego, Jego zadosyćuczynienia mniej do Niego niż do nas należą. Sakramenta są tyląż środkami udzielania się Jego duszom naszym. W którąkolwiek stronę zwrócimy oczy w kościele Bożym, wszędzie znajdziemy Pana Jezusa. On jest dla nas początkiem, środkiem, dokończeniem wszelkiej rzeczy. On wspiera nas w ćwiczeniach pokutnych. On pociesza w smutkach, utrzymuje w doświadczeniach; nie masz nic dobrego, świętego, pięknego, miłego, czegoby słudzy Jego w nim znaleść nie mogli. I dlaczegoż bylibyśmy ubogimi, skoro, jak tylko zechcemy, Pan Jezus dziedzictwem naszem się stanie?... Dlaczego smutkowi poddawaćbyśmy się mieli, kiedy Pan Jezus radością jest nieba, a rozkoszą Jego w zasmucone wstępować serca.

W wielu rzeczach przesadzić możemy, lecz w pojęciu obowiązków naszych względem Pana Jezusa i wielkości miłosierdzia Jego, a miłości dla nas... nigdy! Choćbyśmy przez całe życie nasze o Panu Jezusie mówili, jeszczebyśmy nie wyczerpali tak słodkiego, a miłego przedmiotu. Wieczność cała nie wystarczy nam na dowiedzenie się wszystkiego o Nim, i dla uwielbienia Go za wszystko, co uczynić raczył... lecz to już niewiele obchodzić nas będzie, albowiem nazawsze z Nim połączeni, niczego więcej pragnąć nie będziemy.

On niczego nie szczędził dla nas, nie masz bowiem ani jednej władzy Duszy Jego, którąby nie była się przyczyniła do naszego zbawienia. Niemasz ani jednego członka Jego Przenajświętszego Ciała, coby nie był ucierpiał dla nas; nie masz żadnej boleści, obelgi, ani zniewagi, którejby kielicha goryczy aż do dna nie wychylił. Dla nas wylał On aż do ostatnej kropelki Krew Swoję najdroższą, a każde uderzenie Najświętszego Jego Serca jest aktem Jego ku nam miłości.

Czytamy w żywotach świętych Pańskich, podziwienia godne rzeczy, o ich miłości dla Boga: rzeczy tak cudowne, iżbyśmy o ich naśladowaniu i pomyślić nie mogli nawet. Używali oni bowiem przerażających względem siebie surowości, pędzili lata całe w nieprzerwanem milczeniu, albo też w ciągłym trwali zachwycie i odejściu od siebie; inni namiętnie kochali cierpienie i upokorzenia, lub świętą niecierpliwością trawieni, usychali z tęsknoty, bezustannie za śmiercią wzdychając, wreszcie przyjmowali ją z radością w pośród katuszy najokrutniejszego męczeństwa. Każda z tych rzeczy uważana osobno, w podziwienie nas wprawia; a jednakże zgromadźmy je razem: wyobraźmy sobie miłość Piotra, Pawła, Jana, Józefa i Magdaleny; miłość wszystkich apostołów, męczenników, wyznawców, dziewic, którzy we wszystkich wiekach zdobili kościół. Zgromadźmy mówię, wszystkie te gorejące uczucia, i zamknijmy je w jednem sercu, które cudownym sposobem, dość będzie silnem dla wytrzymania tyla miłości; przydajmy do tego cały żar, którym dziewięć chórów niepoliczonych aniołów pała dla swojego Boga, uwieńczmy to wszystko owym cudownym ogniem, co płonie w Niepokalanem Sercu Najświętszej Matki naszej, a wtedy... dalecy od przybliżenia, słabe tylko mieć będziemy odbicie miłości Pana Jezusa dla każdego z nas, pomimo całej podłości, niegodności, i grzechów naszych. Sami o tem wiemy, jak bardzo takiego zaszczytu niegodni jesteśmy. Nienawidzimy siebie dla grzechów, któreśmy popełnili; nie możemy znieść widoku ułomności, nędzy natury naszej; ciężko nam jest uznawać w sobie tyle zepsucia, tyle rzeczy pogardy godnych. A jednak mimo to wszystko, Pan Jezus nas kocha miłością niewypowiedzianą, gotowym będąc, jak to jednemu z sług swoich objawił, zstąpić na nowo z Nieba i dać się ukrzyżować za każdego z nas.

Nietyle wszakże dziwić nas powinna tak obszerna rozciągłość miłości, jako raczej taż sama miłość ku nam. Gdy zastanowimy się nad tem, czem jest Pan Jezus, a czem my jesteśmy, czyliż będziemy mogli znaleść aby jedno prawo do Jego miłości, prócz chyba głębokości nędzy naszej, która bez łaski Pana Jezusa, do rozpaczy przywieśćby nas mogła. Nie mamy innych praw prócz tych, które On sam w miłosierdziu Swojem litościwie nadać nam raczył. Cóż bowiem nad nas mniej kochania godnego, co mniej szlachetnego, co niewdzięcznego bardziej?... A jednak On nas kocha takim zbytkiem miłości!... I czyliż podobną jest rzeczą, aby prawda ta, na jednę chociaż chwilę przez nas zapomnianą być miała?... Zdołamyż jeszcze znaleść rzecz jaką, coby wobec tej nieskończonej miłości Boga. względem upadłego stworzenia, zająć nas mogła?...

I nie jestże to podziwienia godnem, że my z taką obojętnością wypełniamy zwykłe powinności życia, my, cobyśmy wzorem ludzi, których serce zajęte stworzeniem jakiem, zapominać niemal powinni o pokarmie i spoczynku, widząc się w każdej dnia i nocy godzinie przedmiotem najwspanialszego uczucia; czując się zalanymi miłością wszechmocnego a wiecznego Boga, w którym gubi się wszelka mądrość, wszelka doskonałość i wszelka piękność!... o! najniepodobniejszy do uwierzenia z najbardziej zdumiewających cudów...

Pan Jezus gromadzi na głowy nasze dobrodziejstwa, dopóki, iż tak powiem, nie ugniemy się pod ich ciężarem: bezustannie łaski do łask przydaje tak, iż naprożno usiłowalibyśmy one policzyć. Każdego poranku tkliwość Jego i miłosierdzie odnawiają się dla nas.—A po tem wszystkiem, po tych łaskach wszystkich, ma nastąpić nagroda jakiej oko nie widziało, jakiej ucho nie słyszało, jakiej serce pojąć nigdy nie zdoła!... Oto, co Pan Jezus dla nas czyni...

Niestety! najsłodszy Zbawicielu! aż do dnia tego, czemże dowiedliśmy Ci miłości naszej?...

Ach! zrozumiejmy co On uczynił dla nas, co uczynił dla pozyskania naszego serca... my zaś, patrzymy na ukrzyżowanego Pana, a zaledwo widok ten wzruszyć nas może; słyszymy opowiadanie bolesnej męki Jego, lecz oczy nasze łez nie mają, a sercom czucia brakuje!... klękamy na modlitwę, lecz ani przez jeden kwadrans myśl nasza w Nim spocząć nie umie... zbliżamy się do Jego Przybytku, lecz zaledwie uginamy kolana, z obawy uszkodzenia odzieży naszej... wi-

dzimy innych grzeszących, lecz co nas to obchodzi, że Pan Jezus jest obrażony, jeśli tylko my sami nie narażamy przez grzechy na niebezpieczeństwo dusz własnych... O zaiste! są to bardzo dziwne miłości dowody! Pan Jezus zapewne bardzo szczupłe w sercach naszych zajmuje miejsce, jeśli takie nasze dla Niego uczucia. Niestety! to wszakże najistotniejszą jest prawdą. Każdy z nas siebie tylko ma na celu, i własną jedynie powoduje się wolą. Głównem naszem zajęciem, jest zadowolić we wszystkiem pragnienia swoje; chcemy, żeby życie stało się nam, niby ścieżką wysadzoną różami, z której staramy się usilnie wszystkie powyrywać ciernie.— Co do pokuty, miarkujemy ją o ile tylko możemy. Wymagamy koniecznie wszelkich wygód życia, wszystkich świata rozkoszy: duchowe zaś istnienie nasze jedynie na obfitości wewnętrznych słodyczy i pociech zasadzać się winno, bez nich dusza nasza cierpi, bo nie ma zadowolenia własnej miłości.

Oddając cześć Bogu, czynimy to jedynie przez wzgląd na nas samych; spełniając miłosierne uczynki, i w nich jeszcze siebie tylko szukamy...

Biedny Jezus Chrystus! woła Alfons święty, biedny Jezus Chrystus!... i któż myśli o Nim, któż Jego sprawą, jako własną zająć się pragnie?...

Wszelako, jedynym celem stowarzyszenia Krwi Przenajświętszej, jest zajęcie się czynne sprawą Jezusa Chrystusa: staranie się o jej powodzenie wszelkiemi sposoby, jakich Bóg nam użyczyć raczy.

Spojrzyjcie w świat: znajdujeż się tam aby jeden ważniejszy przedmiot, z którymby nie wiązało się pewne stowarzyszenie, mające na celu bronić praw jego i pomnażać korzyści... I dla czegożby sama tylko sprawa Pana Jezusa opuszczoną być miała?...

Nauka ma swoje zgromadzenia i towarzystwa korespondentów. Ludzie łączą się z sobą, by dać przewagę jakiej politycznej myśli; tworzą spółki dla urządzenia żelaznych kolei, parowych statków itd... dla czegóżbyśmy i my nie mieli obmyślić spólni wynikającej w dążności Pana Jezusa, opiekującej się niemi, i popierającej prawa najsłodszego Zbawcy naszego. Zaprawdę, takim jest właściwie cel bractwa Krwi Przenajdroższej.— Do Niego się zaciągając, miłość własną poza drzwiami zostawić potrzeba: bo nie przybywamy tu dla siebie, tu *wszystko dla Pana JEZUSA*, tu właśnie zajmują się sprawą Pana Jezusa, i korzyściami Jego tylko samego.

Człowiek ma dążności, szatan ma także swoje.

Teraz uczynimy sobie wyobrażenie o dążnościach Pana Jezusa, bez tego bowiem, jakżebyśmy nad ich powodzeniem pracować mieli? Człowiek koniecznie wiedzieć powinien co jest przedmiotem jego zajęcia, by takowemu odpowiedział godnie.—Spojrzyjcie więc około siebie, a przekonacie się, iż na świecie każdy z nas ma na sercu pewne korzyści, dla których dniem i nocą pracuje. — Ile ludzi na ziemi, tyle rozmaitych znajduje się dążności. Wszyscy, których na ulicy spotykacie, za pewnemi uganiają się korzyściami. Wyczytacie to na ich twarzy, w ich pełnych ognia oczach, w ich chodzie przyspieszonym: wszyscy oni bez wątpienia do jakiegoś zmierzają celu. — Tym, dla jednych jest polityka, albo nauka; dla innych wiadomości lub handel; dla innych wreszcie, poprostu moda, pycha lub występek.

Bez względu na to, jaką ona być może, każdy człowiek związał się z miłą sobie dążnością, i ma sobie za powinność takowej służyć. Przez cały dzień z zapałem około niej pracuje; o niej myśli zabierając się do nocnego spoczynku; z rana myśl ta wraz z nim się budzi.—A w niedziele i święta, to tylko same ręce jego w bezczynności zostają; głowa zaś i umysł pracują bez wytchnienia około ulubionej sprawy. Przyjrzyjcie się temu, co czynią ludzie pojedynczo lub wspólnie z drugimi, dla zniesienia niewoli, zaprowadzenia wolnego handlu, pozbawienia korzystnych prac współzawodników, i t. p., i t. p... Niezaprzeczoną jest rzeczą, że oni mają ogromną dążności obfitość; że je kochają i około nich z wytrwałością pracują. O! gdyby to wszystko było dla Boga!... dla Boga tak dobrego, tak miłosiernego, tak nieskończonej godnego miłości!...

Czart także ma swoje korzyści i dążności na świecie. Pozwolonem mu jest urządzić królestwo, przeciwne Królestwu Bożemu; a jako każden inny władca ma i on mnóstwo zamiarów. Dlategoto posiada wszędzie czujnych a zwinnych służalców, duchów niewidzialnych, które tysiącami snują się po ulicach miast dla doglądania sprawy ich pana. — Stawiają oni sidła rolnikowi wśród jego pola, usiłują podejść mnicha w klasztornej zaciszy, i pustelnika w samotnej zamknionego celi: a nawet i w kościele, w czasie Mszy świętej i innych pobożności obrzędów, nie zaniedbują spełniać piekielnego posłannictwa swego. Lecz niestety!... czyliż i pomiędzy ludźmi, naszymi braćmi, nie można naliczyć tysiąców poświęcających się na czynną posługę szatana?... Tak zaiste, niezliczone ich mnóstwo, nie waha się bezpłatnie nawet popierać sprawy jego... a to jeszcze bardziej opłakania jest godnem, iż wielu z nich trudząc się dla szatana, sądzą iż dla Boga pracują, tak bardzo wydaje się im niewinnem i nienagannem wszystko co czynią. Ilużto bowiem katolików, nie przestają się sprzeciwiać dobrym zamiarom, i wyszydzać osoby cnotliwe?... A przecież oni mieliby skrupuł być narzędziami szatana, gdyby wiedzieli, że takiem właśnie jest piętno ich postępowania.

Lecz któżby policzyć zdołał wszystkie ohydne dążności nieprzyjaciela ludzkiego rodu... Przywieść do grzechu śmiertelnego, nakłonić do upadków powszednich, zniweczyć owoce łaski, przeszkodzić skrusze, oddalić od Sakramentów, usposobić do oziębłości serca, rzucić potwarz na osoby służące Bogu, na biskupów, kapłanów i zakony. Stłumić powołania, rozsiać obmowy, zamieszać modlitwę wiernych, obudzić w ludziach zamiłowanie światowych płochości, wmówić w nich, aby rozpraszali majątki na uciechy, zbytkowne sprzęty, pełne próżności stroje, klejnoty, na tysiączne drobnostki, zamiast wspomagania ubogich członków Jezusa Chrystusa; przywieść ich do pokładania całej ufności w możnych świata tego, do wyłudzenia dla siebie łaski stronników władzy; napełnić umysły gorzką a wzajemną nieufnością i uczynić je tak łatwemi do zgorszenia jak małe dzieci, zniszczyć nabożeństwo do Najświętszej Matki Boga, wpoić w lud przekonanie, że miłość Boża szałem jest tylko i fanatyzmem, te to są główne dążności szatana; pracuje on około nich z nadzwyczajnym zapałem, i nic wyrównać nie zdoła owej głębokiej złości i biegłości niegodzi–

wej, z jaką one przeważnie rozwija wśród świata. Byłoby to zapewne godne podziwienia widowisko, ta energia, ta praca nieustająca, gdyby nie wzbudzało w nas trwogi o własne zbawienie: i gdyby wszystko co przeciw Bogu powstaje, nie zasługiwało na wzgardę i nienawiść od ludzi . . Stwórca w niezbadanych wyrokach Swoich, zostawił ohydnemu nieprzyjacielowi Swemu pewne powodzenie, zdumiewające nas wpośród stworzenia, na które ten Bóg trzykroć święty rzucił upodobania wzrokiem, które w dobroci niepojętej ubłogosławić raczył.

Dążności ludzi przyprowadzą ich nieraz do usuwania na bok korzyści Pana Jezusa, często jako niegodnych siebie, a prawie zawsze jako mało znaczących.—Dążności szatana zupełnie przeciwią się dążnościom Pana Jezusa, i wszędzie gdzie tylko tamte górę biorą, te słabieją, jeśli nie upadają zupełnie. . .

Anglik-protestant o katolickich i protestanckich misyonarzach w Ugandzie.

Notorycznym jest, że działalność apostołów nauki Lutra nie wytrzymuje w żadnym kierunku porównania z działalnością misyonarzy katolickich. Że zdanie to nie jest jednostronną opinią ,,służalców Rzymu'', na to dowodem rozliczne w tej kwestyi afirmacyjne enuncyacye mężów protestanckich, których chyba nikt o skłonność ku katolicyzmowi podejrzywać nie może. O ile katoliccy krzewiciele Chrześciaństwa i cywilizacyi odznaczają się wszędzie dwiema najkardynalniejszemi cnotami chrześciańskiemi tj. *miłością* bliźniego i *pokorą* prawdziwie chrześciańską, o tyle pionierów protestantyzmu charakteryzuje właśnie *brak* cnót owych. Tak jest wszędzie, od ultracywilizowanej Europy począwszy, a skończywszy na ,,ciemnej'' Afryce; więc też nie dziw, że objektywny spostrzegacz, choćby się zaliczał do innej religii, widzi wszędzie to samo.

* * *

Organ protestanckich konserwatystów angielskich ,,Times'' wysłał był do Ugandy, znanego teatru smutnych walk religijnych, swego specyalnego korespondenta, ażeby zbadał stosunki na miejscu i zgodne z prawdą zdał referaty. Angielski publicysta źle był uprzedzony przez protestanckiego kacyka do misyonarzy katolickich, tem więcej więc zadziwiło go serdeczne przyjęcie, jakiego doznał ze strony katolików w Buddan. Ale posłuchajmy własnych słów protestanckiego dziennikarza o pobycie jego u Biskupa Hirtha i u ,,białych Ojców'' w Willi Marya, głównej osadzie misyi:

,,Ogólne usposobienie, z jakiem nas u katolików przyjęto, było zadawalniające i ośmielające; z niczem jednakże nie można porównać uprzejmości, którą nam okazywali Biskup francuski i jego misyonarze, najmniejszy cień nie zamącił uroku naszych odwiedzin. . . Podziwiałem mianowicie takt i delikatność, z jaką Biskup i jego stronnictwo wstrzymywali się starannie od wszelkich użalań i ani razu nie słyszałem, ażeby z ust ich wyszła kiedy nieprzyjazna lub twarda uwaga o misyi angielskiej. Nie mogę niestety powiedzieć tego samego o ich rywalach, którzy nie zawsze zachowują podobną, szlachetną rezerwę wobec katolickich misyonarzy i ich czynności. —Miałem sposobność być na mszy św., z szacunkiem przyglądałem się szczeremu nabożeństwu neochrześcian. . .'' I dla misyi ,,białych Ojców'' nie znajduje korespondent ,,Timesa'' dość słów pochwały: ,,nie chcę robić porównania między misyami protestanckiemi a katolickiemi i religijną kwestyą zostawiam na boku— z praktycznego stanowiska jedynie przyznać muszę, że system pracy używany w misyi francuskiej o wiele jest lepszym, od systemu praktykowanego przez ,,Church Missionary Society''.

Pełen podziwu dla katolików, którzy po krwawych zeszłorocznych zajściach, pomimo to ,,o ile to było możliwem wyciągali z położenia korzyści i w ciągu ostatnich miesięcy przyprowadzili do skutku podziwienia godne dzieło'', wystawia korespondent protestantom świadectwo, że ,,okazując niepomierną radość z niepowodzenia swych nieprzyjaciół odpychali każdą ze strony katolików pochodzącą próbę pojednania i wcale nie występowali w duchu przebaczenia, które przecież jest jedną z najważniejszych zasad chrześciaństwa.''

Nawet co do metody misyonarskiej przyznaje angielski reporter katolikom pierwszeństwo. ,,W misyi francuskiej panuje większa dyscyplina i regularność. Każdy ma z góry oznaczoną czynność, i niżsi misyonarze są przełożonym swym bezwzględnie posłuszni. Wstępując do zgromadzenia misyjnego zupełnie są tego ś w i a d o m i, że świat zewnętrzny przestał dla nich istnieć praktycznie i że ich dobrowolne wygnanie, które znoszą z sercem swobodnem, trwa na całe życie. Nie żywią oni żadnych nadziei, nie spodziewają się ujrzeć kiedykolwiek swych przyjaciół lub swój ,,home'', jak angielscy misyonarze. . . O ostatnich możnaby powiedzieć, że nie znają po prostu posłuszeństwa wobec biskupa: każdy protestancki misyonarz chce mieć prawo pozostawania przy swoich indywidualnych zapatrywaniach i przez to tem więcej odbija od księży francuskich, którzy mają do swego przełożonego bezwzględne zaufanie.

Inny uwagi godny punkt, to energia, z jakę misyonarze francuscy przeprowadzają swój system odwiedzania nawróconych i bezustannej z nimi osobistej styczności we wszystkich okolicach. Świetne rezultaty są istotnie nagrodą tego systemu, prócz tego przychodzą misyonarze przez to do mnóstwa cennych informacyi. I w tym kierunku mogliby angielscy misyonarze naśladować ten znakomity przykład, bo dotychczas nie okazali w tym względzie wcale gorliwości''.—Dobre rady protestanckiego korespodenta naturalnie na nic się nie przydadzą, boć protestantyzm, który jest czynnikiem r o z k ł a d o w y m, nic istotnie pozytywnego zdziałać nie może i wegetuje tylko odgrzewając starą nienawiść do ,,rzymskiego Papieża'', jak to sami rozsądni protestanci przyznają.

O GNIEŹNIE.

Hej orle, biały orle,
Gdzie twoje orlęta?....
Twoje gniazdo stare
I twa przeszłość święta....

Polskie orle, białe orle... toż to znak tak drogi dla nas zawsze, to godło ludu polskiego i istotnie piękna pamiątka z lat dawnych.

To też, gdy kraina nasza jeszcze była wolną, gdy nie znała ani więzów niewolniczych, ani srogiej ręki wroga nas gniotącego, kiedy kwitła szczęściem i bogactwem, a wznosiła wspaniałe miasta, zamki i gmachy, wtedy znaki orła białego wszędzie się znajdowały, a przechowane do dziś jeszcze, czy to na ruinach, czy gmachach starych świadczą, czem dla Polaków orle białe bywa.

Ilekroć rycerstwo nasze szło w bój krwawy — to tuż przy chorągwi ze znakiem Bogarodzicy wznosiło chorągiew z orłem białem i patrząc na te znaki nabierało męztwa i odwagi.

Orle białe w dziejach naszych to jest druh najmilszy, jak brat drogi i jak srebrna gwiazda jaśnieje zawsze pięknie—czysto i wysoko wzniesiony!...

Dziś—inaczej się dzieje. Na wielu miejscach znak orła białego zdjęto zawieszając tam inny—gdzieindziej znów o tym znaku już zapomniono—a tylko mało kto jeszcze dziś ubiera spinkę z tym znakiem. A przecież tak być nie powinno. Ten sam znak, który był drogi praojcom naszym przez tyle wieków, który jaśniał zawsze i wszędzie i nie dawał się zastąpić innym—winien być zawsze dla nas najdroższym, a przynajmniej bodaj w obrazku za ramkami przypominać, że godło Polaków świętem jest dla ich potomków.

Ale też może ktoś zapytać, zkąd ten ptak biały był u nas w takiej cenie— dlaczego obrali go ojcowie za swoje godło?

Oto stara opowieść dziejowa tak brzmi:

Bardzo dawno temu, bo więcej jak 1300 lat, pewien wódz polski z swoimi towarzyszami przybył w tę stronę, gdzie dziś jest miasto Gniezno. Były tam ogromne lasy, a w nich mnóstwo gniazd białych orłów.

— Założymy tu naszą siedzibę — rzekł Lech do towarzyszy i kazał ścinać dęby, by z nich stawiać domy. Ale gdy najpierwszy dąb pod siekierą runął, opadło z nim razem i gniazdo orląt.

— Biedne ptaszyny!—zawołał Lech...—ja wam krzywdy nie zrobię, my ani krwi, ani wojowania nie chcemy. Pragniemy pracy na roli i wolności, więc i wam wolności nie zniszczymy.

I kazał to gniazdo ostrożnie przenieść na inne drzewo, a na pamiątkę tego, nowo założone miasto nazwał G n i e z n e m i znak orła białego przyjął za godło.

Od tego Lecha nazywają też i nas często Lechitami, albo Lechami, a miasto Gniezno uznane jest prawdziwie za kolebkę naszego narodu.

Stare bo też to siedlisko. Starsze od Krakowa posiwiałego i wiele ma także w sobie pamiątek, o nim więc dziś potrochę pogawędzić chcemy, bo godzi się nam niejedno z tego zapamiętać.

Gniezno leży w części Polski, będącej dziś pod zaborem Pruskim. Zbudowane jest ono na siedmiu pagórkach—a wokoło niego są liczne jeziora i stawy.

Mieszkali w niem dawniej książęta i królowie polscy, zanim się do Krakowa przenieśli i wtedy miasto to było wspaniałe. Dziś jest ubogie bardzo.

Pierwszy kościół chrześcijański wzniesiony staraniem króla Mieczysława I. właśnie został zbudowany w Gnieźnie. W Gnieźnie też odbył się chrzest tego króla, a było to w roku 966.

Gdy lud polski był jeszcze pogańskim, czcił rozmaite bożki, miał więc też w Gnieźnie zbudowaną świątynię pogańską bogini Nii. Tę świątynię zburzył Mieczysław, a na tem miejscu wzniósł kościół Panny Maryi, który jeszcze istnieje do dzisiaj.

W kościele tym spoczywają zwłoki Dąbrówki, żony Mieczysława i świętego Wojciecha.

Tutaj Bolesław Chrobry przyjmował i gościł cesarza niemieckiego Ottona i tu zostało założone pierwsze biskupstwo na ziemi polskiej.

W Gnieźnie został Bolesław Chrobry koronowany uroczyście jako pierwszy król polski, a potem wszyscy inni królowie tam swą koronacyę odbywali, aż do Władysława Łokietka. Ten bowiem koronował się w Krakowie, a po nim znów koronacyę tutaj odbywano.

Z czasów Bolesława Chrobrego Gniezno uważane było jako miasto najwspanialsze. Dostarczało też ono więcej wojska jak inne miasta. Dawało ono królowi 1500 żołnierzy tak zwanych pancerników, a 5000 z tarczami.

Po śmierci Bolesława Czesi wpadłszy zniszczyli Gniezno prawie do szczętu, ale go nie zdobyli. Spalili to miasto bogate, zabrali drogie rzeczy, a dopiero za Władysława Hermana miasto to cokolwiek się podniosło. Król ten miasto to polubił i mieszkał w niem stale, a syn jego Bolesław Krzywousty, przyjmował tu biskupa Ottona, który szedł na Pomorze, by nawracać Prusaków.

W r. 1331 Krzyżacy napadłszy na to miasto, zrabowali je i spalili, to też miasto to bardzo podupadło.

Władysław Jagiełło, gdy odniósł zwycięstwo nad Krzyżakami pod Grunwaldem, przyjechał umyślnie do Gniezna, by przy grobie św. Wojciecha podziękować Bogu za pomoc.

Srogie wojny i napady nieprzyjaciół, dręczące naszą ojczyznę przez lat wiele, wyniszczyły i Gniezno tak, że w r. 1743— ta dawna stolica Polski miała tylko 60 mieszkańców.

W rynku i na ulicach zarosła trawa, a tylko wspomnienia o dawnej świetności błąkały się tamtędy i szmer drzew przypominał jak bywało.

Znajduje się tam również bardzo stary kościółek św. Krzyża, w którym jest krzyż słynący licznemi cudami. Opowiadają, że krzyż ten wyciągnął rybak z wody, a nad nim unosiły się dwa aniołki. Kościółek ów stary, przed kilkudziesięciu laty chylił się do upadku, miano go więc rozebrać. Ale lud tak płakał i prosił, żeby tego nie uczyniono, iż pozwolono na restauracyę. Odnowiony też teraz jest z następującym napisem nad drzwiami:

— Opatrzność Boska dźwignęła!

Bo tylko ze składek ludu reperacyę tę przeprowadzono.

Dziś stare gniazdo nasze otoczone przemocą nieprzyjaciół naszych śpi niby i drzemie. Ale ciężkie takie życie.

Orle białe tuła się kędyś światami bez gniazda,

setki wygnańców i tułaczów błąkają się po świecie — lud musi walczyć o swą mowę rodzinną i prawa obywatelskie, a lata płyną i płyną coraz dalej. Zdaje się, że to wszystko jedno czy rok mniej czy więcej. Lecz nie. Wielkie rocznice żałoby ludu zbliżyły się do nas a człek staje i duma, pytając:

— Hej orle, biały orle...
Gdzie dziś twa swoboda?
Ty dźwigasz kajdany,
Czas płynie jak woda,
Ale z dni tych wielu,
Trzeba wieniec złożyć
I pracę ofiarną
Na twe czoło włożyć!

Rozbójnicy w Hiszpanii.

(Wspomnienie z podróży.)

I.

Pobyt w Hiszpanii, albo w Sycylii, bez jednego, bodaj maleńkiego epizodu z rozbójnikami, to właściwie nie jest, a właściwiej mówiąc, od niedawna nie był pobytem w Sycylii, ani w Hiszpanii; bez takiego epizodu podróż uważaną była poniekąd za chybioną. W kraju, gdzie nietylko karety podróżne i dyliżanse, ale pociągi kolejowe, przedmiotem napaści bywają, dwaj podróżni żadnej straży przybocznej nie mający, słusznie czynią, jeżeli przyjmują w rachubę ewentualność jakichś awantur spodziewanych. To też zaledwie parę tygodni na półwyspie Iberyjskim się znajdowaliśmy i już owładnęła nami owa lękliwość, która nawiedza, jak mówią, najodważniejszych, kiedy ci przeczuwają czyhające w pomroce nocnej niebezpieczeństwa i strachy nieodgadnione.

Tak było właśnie z nami, a działo się to w miejscowości mało zaludnionej Sierra de Cebollera, na pograniczu prowincyi Soria i Lagrono. Pamiętna ta przygoda zdarzyła się nam w miejscowości opuszczonej, dzikiej, więc najpodatniejszej do awantur tragicznych. Wicher dmie tutaj nieustannie, a nawet w pogodny letni poranek dokuczliwe zimno we znaki się daje. Jest to też ulubione siedlisko wilków, ich główna na całą okolicę kwatera.

Gęste bory, pokrywające gór wierzchołki, dają tym wilkom wyborne schronienie, a pasące się w wąwozach i dolinach stada, dostarczają im pożywienia. Opowiadano mi, że osada Lumbreras, pośrodku Sierra de Cameros, leżąca o kilka wiorst od Sierra Cebollera, miała kiedyś do ośmdziesięciu tysięcy owiec, a dziś ma ich trzy tysiące zaledwie. Otóż wieść głosi, że owe 77 tysięcy, których nie dostaje, przeszły w komplecie do żołądków wilczych.

Wyjątkowa na Hiszpanię aura tej miejscowości sprzyja też ogromnie wilczemu panowaniu. Na długo jeszcze przed październikiem śnieg rozściela się po tych „sierrach" i już trzyma w swym całunie ziemię przez kilka miesięcy z rzędu. Ludzie i zwierzęta zimują po folwarkach i żyją z zapasów, zupełnie jak w miejscu oblężonem. Wtedy to właśnie wygłodzone wilczyska zstępują z wyżyn. Po dziesięć, po dwadzieścia, snują się bandami, krążą dokoła siedzib na uboczu leżących i całemi nocami wyją pod wrotami, owem bolesnem, posępnem wyciem, w głodzie swe źródło mającem. I wszystko, co im się na ząb dostanie, owce, krowy, konie, psy, dzieci, pastwą ich żarłoczności pada; nad ranem zaś uspokoiwszy głód jako tako, wraca powoli ród wilczy do swych legowisk, do borów. Zabijają ich sporo, swoją drogą jednak żadnej zimy ich nie brakuje. Nie kwapią się wszelako mieszkańcy z ich tępieniem: dlaczego? — oto skóra wilcza, nie warta w tych stronach strzału, a hiszpan oszczędza prochu, z arabem na równi. Dają iż żyć przeto i liczą tylko, że przecież głód i nędza same wytępią tych szkodników, jak wytępiły inne ich gatunki, a w końcu, że wilki, jak głosi przysłowie, same się pożerają.

„Venta" Piqueras jest punktem centralnym tej nędznej okolicy. Jest to budowla przestronna, lecz bardzo mizerna, o jednem piętrze, i to tylko piętro ma okna, dół żadnych okien nie posiada. Wchodzi się dwoma bramami do tego domostwa; jedna z tych bram prowadzi jednak do kaplicy, której mała dzwonnica po nad dachem góruje. Do tej właśnie bramy zakołataliśmy, kiedy nam pierwszej nie otwarto. Brama nie była zamknięta; przestąpiliśmy próg i znaleźliśmy się wewnątrz kaplicy.

— Hej, gospodarzu! — poczęliśmy wołać. A potem, opamiętawszy się, gdzie jesteśmy, nawoływać poczęliśmy zakrystyana. Ale nikt się nie ukazał. Wyszliśmy tedy i poszukaliśmy pierwszych drzwi, które kopnięciem próbowaliśmy otworzyć, kiedy zauważyliśmy, że tuż przy wejściu człowiek jakiś z dwiema dziewczynkami młóci zboże arabskim systemem, przy pomocy konia obracającego się jak w menażu. Dostrzegli nas to wszystko troje, to było oczywistem, ale robili dalej swoje, najmniejszej na nas nie zwracając uwagi.

Zwracamy się przeto wprost do nich.

— Niema nikogo—woła człowiek.

— A gdzie jest gospodarz „venty"?

— Nocą dopiero powróci.

Podchodzimy tedy bliżej, ale jegomość młócący zboże, zachęca nas, abyśmy sobie poszli do Povedy, do wioski leżącej po drugiej stronie góry, o mil trzy lub cztery. Ponieważ jednak zaczęliśmy się przyzwyczajać do gościnności hiszpańskiej, więc złożywszy w kącie torby, bez żadnej ceremonii sami legliśmy na słomie, z mocnem postanowieniem doczekania się właściciela „venty", choćby po północy miał się pojawić. Teraz dopiero, zrozumiawszy nasz sposób myślenia, uprzejmy młocarz szepnął słów kilka starszej dziewczynce, osobie wcale poważnej, jakich lat dziesięć lub jedenaście liczyć mogącej, która zajęta była podmiataniem ziarna.

Dziewczyna porzuciła robotę, odczepiła duży klucz wiszący u ojcowskiego pasa, zawołała siostry i rzekła do nas:

— Pójdźcie, ludzie.

Idziemy więc za dziewczyną do „venty", prowadzi nas przez pustą zupełnie stajnię i przez kuchnię, jak loch ciemną; nic bo też w tem dziwnego, skoro światło przedostaje się do niej przez dziurę w dachu wykrojoną—jak u dzikich indyan. Ma to o tyle dobrą stronę, że dokoła takiego ogniska można wygodnie zasiąść i osobisty przyjmować udział w przygotowaniu jadła. Niebawem też młodsza dziewczyna roz-

nieca ognisko — a starsza przedsiębierze czyszczenie wiechciem słomianym kotła, jako widocznie służyć mającego do wieczerzy; ukończywszy pobieżnie tę czynność wyszła i niebawem wróciła z dużym dzbanem wody, który na ramieniu przyniosła.

Rozłożyliśmy się na ławkach, zażywając słodkiego po znużeniu wypoczynku i przypatrując się wesołym płomieniom, fantastyczne rzucającym cienie i kontury i oświetlających co chwila stare talerze i misy, ułożone symetrycznie w staroświeckiej szafie; tuż obok rondle miedziane na półkach, a po nad tem wszystkiem obraz Matki Boskiej i po bokach wieńce czosnku i cebuli, a pod spodem znowu litografię, przedstawiającą torreadora, zeszłorocznego zapewne byków pogromcę, którego szlachetne barwy pierwotne znikły już pod warstwą kurzu. W głębi widać było jeszcze: u pułapu wiszący połeć zjełczałej słoniny, dzban do oliwy, parę lampek mosiężnych starodawnej formy, różaniec z wilczych złożony zębów i starą strzelbę. Wśród tych rupieci poruszały się najswobodniej dwie dziewczynki, spoglądając na nas ukradkiem dużemi, poważnemi, czarnemi oczyma i krzątając się przy ogniu.

Wyziewy stajni, niedbale utrzymanej, mięszały się w tej atmosferze z dymem nieobeschłego dobrze drzewa i oliwy, dławiąc nas chwilami za gardło. Powoli noc zapadła zupełnie.

Nie wiem jak długo spałem, kiedy nagle zbudził mnie rumot jakiś. Przetarłszy oczy, ujrzałem najpierw przy ognisku pochyloną straszliwą babę, która szorowała zapamiętale rondel; chuda, sucha, z kosmykami siwego włosa, wyzierającemi z pod brudnej chustki, zawiązanej na głowie — wyglądała jak widmo, albo raczej jak baba, usługująca rozbójnikom i zajęta właśnie wieczerzą.

Twarz jej formalnie była pokiereszowaną i rozporządzała jednem tylko okiem, na drugiem zbywało; ale i to jedno jedyne oko wydawało się tak złowieszczem, że bez skrupułu, zdawałoby się, możnaby i ono jej wyłupić. Pomimo, że to był sam środek lata, baba przyodziała swe wyschłe lędźwie w jakieś pół tuzina co najmniej spódnic, które wydymały się zaokrąglone w sposób wcale niezgodny z wymaganiami architektury całej tej postaci kościstej i spiczastej.

Pomrókiwała coś przez żółte wyszczerbione zęby, które miały widoczną ochotę uciec z jamy ustnej i co chwila gromiła starszą dziewczynę za to, że nie dość była powolną bekom jakiegoś szkaradnego bębna, który darł się za czterech i zawzięcie drapał palcami ziemię, na której przysiadł, ciskając w dziewczynę ową wydrapaną ziemię i wrzeszcząc, aby mu dała mleka. Ale właśnie tę miskę mleka mierzyła pożądliwemi ślepiami i żółta szkaradna kotka, przysuwając się coraz bliżej do specyału.

Na domiar wpadło jeszcze dwóch kotów i te podsuwały się zrazu do tejże samej misy, ale w tejże chwili stara dobyła głownię, zamierzyła się i oba koty dalej w nogi z tą samą szybkością, z jaką tylko co wbiegły. Jednocześnie dał się słyszeć ryk i beczenie bydła i trzody, które na noc z pastwiska wracały, ożywiając domostwo dość przedtem puste i osamotnione.

Jednocześnie ukazał się w progu kilkunastoletni wyrostek, też z podełba patrzący, widocznie synek lub wnuczek owej wiedźmy i przywitawszy się niedbale, przysiadł w kącie; wreszcie wszedł jeszcze jakiś drab, o minie bardzo podejrzanej, z fuzyą przez plecy i ów stary chłop, który tylko co zboże młócił. Wszyscy rozsiedli się na ławie wprost nas, a twarze ich bynajmniej nie nosiły piętna życzliwości, zwłaszcza twarz starego młocarza, na którym nasze rewolwery i torby, zawieszone tuż obok nas na ścianie, najwyraźniej przykre wrażenie sprawiły.

II.

Nareszcie kolacya gotowa: co za kolacya! kluski z mlekem i basta.

Siadłem do wieczerzy, osobną łyżką, ale z ogólnego kotła, czerpiąc nią pożywienie i wsłuchując się w harmonijny wrzask bębna, któremu tę właśnie łyżkę odebrano, by mnie jej użyczyć.

Nie zachęcam ludzi wybrednych, aby ,,ventę'' w Piqueras kiedykolwiek na willegiaturę sobie wybrali. Zdaje się też, że wreszcie dwóch podróżnych do roku tutaj się nie trafia. I dla tego zapewne tak gospodarz, jak gospodyni, jak wszyscy ciekawem i pożądliwem okiem mierzyli; byliśmy dla nich owym niezmiernie rzadkim łupem, ową zdobyczą, którą niebo zsyła przeważnie tylko zacnym oberżystom. Pożądliwość owa była tem naturalniejszą, że towarzysz mój popełnił dziką nieostrożność: oto szukając czegoś po kieszeniach, mimowoli wydobył parę sztuk złota; od tej chwili patrzyli w nas wszyscy jak w tuzów.

Po kluskach z mlekem w miarę zamieszkałem przez muchy, podano nam chleb, cebulę i dzbanek z winem. Sen wszelako ogarniać nas powoli zaczynał i spoglądaliśmy już tylko po sobie z pewnym niepokojem, w którym też z nieschludnych kątów izby lub stajni, nocleg nam przygotują. To nasze powątpiewanie było już oczywistą krzywdą gospodzie wyrządzoną, albowiem o noclegu dla nas już pomyślano. Jakoż zaledwie skończyła się wieczerza, już wstępowaliśmy na górę po schodach, w których połowę zaledwie stopni brakowało, a przewodniczką nam była starsza z wyżej wspomnianych już dziewcząt, niosąca przed nami ostrożnie lampę do naszych pokojów.

Nasze pokoje! Po raz to pierwszy od czasu jak na ziemi hiszpańskiej stanęliśmy, dano nam dwa pokoje oddzielne, ale tym razem oddzielne za to w całem znaczeniu wyrazu, gdyż długi korytarz prowadził od mojego, do mojego towarzysza pokoju. I ta okoliczność również nie wzbudziła w nas większego zaufania, tembardziej, że idąc po schodach, słyszeliśmy po za sobą na dole szepty nic dobrego wróżyć nie mogące. Ale na szczęście opuszczając ,,salę jadalną'', z pewną ostentacyą zdjęliśmy ze ściany rewolwery, pomimo, że ktoś z obecnych zapewnił nas uroczyście, jako możemy na dole je pozostawić.

Pierwszy pokój, który dano memu towarzyszowi, miał raczej wygląd celi bez żadnego okna i mającej tylko jedno wejście z korytarza. Ja dostałem przynajmniej przestronny pokój z oknem i to mię ucieszyło jako tako, bo nie znoszę izdebek, w których podczas snu oddychać swobodnie nie można.

Dziewczynka, która mi świeci po drodze, przestrzega, abym ostrożnie stąpał—ostrożnyść zbyteczna, bo już parę razy potknąwszy się w jakiejś szparze, o mało nie upadłem o piętro niżej. Podłoga, a raczej to, co niegdyś było podłogą, jest dziwnie przytem ruchoma, a przez szpary dochodzi z dołu woń obory i ryk bydła. Co jest pod spodem, zgadnąć nie trudno.



ANIOŁ STRÓŻ.

Nie tak jak u mojego towarzysza, ale wpryst przeciwnie, tutaj jest okien aż cztery, a wszystkie patrzą na góry i są okratowane, jak w więzieniu.

(Dokończenie nastąpi.)

Dziwny atlas.

Jest w watykańskich lożach Rafaela, na lewo od wejścia, wielki atlas krain ziemi, rozwieszony w pojedyńczych kartach wzdłuż całej galeryi, która od Pinakoteki prowadzi. Atlas ten dość dziwacznie wygląda na pierwszy rzut oka. Jest to jak gdyby rozkawałkowana, wielka mapa strategiczna, na której oznaczono ufortyfikowane punkty, twierdze, wały, baszty i zasieki, tylko że miejsce ich zajmują kościoły.

Kościoły te nader różne co do rozmiarów swoich, od kopulastych bazylik i strzelistych tumów, do ubogich, małych, ledwo dwiema kreskami oznaczonych kapliczek, stoją to w gęstym szyku, to rozproszone, dość szerokiemi przestrzeniami od drugich odcięte, to wreszcie ledwie się odszukać dające, ledwie znaczne drobnym krzyżykiem, wśród pokrytych namiotami stepów po wyrębach puszcz dzikich, między chruścianemi szałaszami, nawet między ogniskami, które oznaczają przygodne ludzkie noclegi. Wielkie grupy kościołów wyglądają jak oszańcowane obozy, zasobne, pewne, bezpieczne, luźno stojące świątynie, jak twierdze obronne, tu, to tam rzucone na wojennym szlaku; drobne kaplice coraz mniejsze, coraz rzadsze są jak owe forpoczty i pikiety, które najdalszych i niepewnych posterunków strzegą.

Wszelako określenie to dobrze oddaje charakter całości tylko pod względem ogólnej konfiguracyi; po za tem jest jeszcze ruch.

Istotnie, dosyć jest wpatrzyć się przez dłuższą chwilę w ów niezwykły atlas, aby spostrzedz, że wszystko to się gdzieś spieszy, gdzieś idzie, gdzieś dąży.

Forpoczty posuwają się coraz dalej — pikiety wybiegają coraz śmielej — ostatnie stoją już na skraju ziem nieznanych, na których dawni geografowie rysowali wielką, mglistą, pokrywającą je rękę.

Przed tym to atlasem stawali często dawni Papieże, patrząc na niego długo i bacznie to z głęboką zmarszczką na czole, to z uśmiechem, to z ogniem zapału w twarzy.

Pius IX.—mówią—siadywał tu godzinami całemi w wielkiem krześle, a mądre jego, przenikliwe oko przenosiło się chętnie od widoku szczerb i wyłomów, jakie czas czynił w wielkich, silnych twierdzach, do tych śmiałych, pełnych życia i nadziei placówek, które w miejsce dawnych, kruszejących w ręku dziedzin, sięgały po nowe zdobycze.

Ruch ten ku zachodowi coraz się wzmaga i coraz żywotniejszym staje. Wielki gmach, w którym się mieści „Propaganda fide", jest jednem z najczynniejszych biur Wiecznego Miasta. Jaka sieć interesów krzyżuje się tam, zadzierzga, rozplątuje, wiąże, o tem możnaby napisać bardzo ciekawą, wielo to mową księgę. Ztąd też lecą ordynanse do najdalszych owych forpocztów i placówek, gdyż jedyne w swoim rodzaju ministeryum spraw zagranicznych, lubo nie uchwala wojny, bojuje jednak na wszystkich punktach działalności swojej.

Na placówkach jednak i po przygodnie wzniesionych twierdzach trzeba ludzi, trzeba załogi, takiej załogi, która raczej zginie, niżby miała porzucić posterunki swoje; ludzi silnych. energicznych i żywo wierzących. Prace misyjne nie są synekurą, to pewna, a jednak dotąd nigdy nie brakło misyonarzy; sam zakon Kapucynów i Dominikanów dostarczył ich całe zastępy. Nie każdy wprawie z tych, którzy tą drogą poszli, mógłby się równać z takim księdzem Persico, bohaterem i weteranem tegoczesnych missyj; ale po wszystkie czasy bywali ludzie tędzy, których nęciło twarde, surowe i pełne niebezpieczeństw apostolstwo, nierzadko męczeńską śmiercią grożące.

Silny, muszkularny, suchy, z głosem dźwięcznym, szeroką piersią, bystrem okiem, energicznym ruchem, z umysłem kombinującym i lotnym, z szybką i stanowczo decydującą wolą, ambitny, śmiały, tudzież przedsiębiorczy—oto ideał missyonarza, który zdobywa nowe terytorya, zakłada fundamenta nowych wpływów, organizuje młodociane kolonje wierzących, pracuje dużo, pożytecznie, wytrwale, chrzci katechumenów, kolekcyonuje, wzbogaca zarówno Kościół jak etnografię, zakłada szkółkę, szpital, warsztaty, posługuje się naturalnem uzdolnieniem mieszkańców, z drobnej iskierki rozdmuchuje ognisko kultury, w opałach i trudnościach daje sobie radę i liczy przedewszystkiem na siebie; budzi zarazem obawę i zaufanie; a wreszcie zdrów, cały, chociaż mocno ogorzały, niekiedy nawet pokiereszowany, powraca z drugiej półkuli, jak gdyby żołnierz z bojowej wyprawy.

ROZMAITOŚCI.

DZIWNE SPOSTRZEŻENIE

uczyniono na tych, co zdołali się ocalać podczas zatonięcia angielskiego pancernika „Wiktorya." Dr. Ellis, lekarz okrętowy, który tylko cudem zdołał się uratować, opowiada, iż marynarze, którzy przeżyli tę straszną katastrofę, prawie wszyscy znacznie stracili na wadze. Tak np. kapitan Smith, który znajdował się obok admirała Tryona w chwili, gdy statek tonął, stracił ośm funtów. Pewien oficer stracił również ośm funtów, dwaj majtkowie po dziesięć, sam wreszcie dr. Ellis zauważył na sobie, iż nietylko stracił dziesięć funtów na wadze ciała, lecz nadto ciało jego zmniejszyło się na wysokość o pięć centymetrów, a i klatka piersiowa stała się węższą. Dziwnem tem zjawiskiem zajmują się obecnie uczeni, nie umieją go wytłómaczyć.

ROZBÓJNICTWO WE WŁOSZECH.

W Niterbo, w pobliżu Rzymu, rozegrywa się proces, świadczący, jak wiele jeszcze braknie do wykorzenia rozbójnictwa z Włoch. Już w r. 1820 Leon XII zwołał żandarmów i oświadczył im aby położyli koniec nadużyciom mieszkańców z okolic Viterbo. W tym celu zabroniono wieśniakom pod karą śmierci wychodzić z wiosek z prowizyami, gdyż zanosili je bandytom. Kilku opornych temu rozkazowi roz

strzelano. Opryszkowie, wycieńczeni głodem, poddać się musieli. Niestety jednak inni zajęli ich miejsce. Od lat trzydziestu grasuje w tej okolicy dwóch bandytów: słynny Tiburzi i siostrzeniec jego Fioraventi. Niepodobna było dotychczas ich ująć. Policya, po próbach nieudatnych, schwyciła wreszcie ich wspólników w liczbie dwustu. Proces ich toczy się obecnie. Musiano ich rozdzielić na pięć seryj. Śledztwo wykazało, iż okoliczni wieśniacy służyli bandytom za szpiegów, donosząc im o każdym kroku żandarmeryi. W pewnej wiosce wszyscy spełniali tę rolę, poczynając od mera i sekretarza. W liczbie ujętych znajdują się: syn, brat, siostry, wujowe i ciotki Tiburzia. Właściciele ziemscy opłacali teksę rozbójnikom od 900 do 4000 lirów. Za tę cenę ubezpieczali swój inwentarz przeciwko kradzieży. Biada tym, co płacić nie chcieli. Tiburzi i Fiovaranti uważali okolice Viterbo za swoje dziedzictwo. Ma ławie oskarżonych zasiadają przedstawiciele wszystkich warstw społecznych: urzędnicy państwowi, kupcy, właściciele ziemscy, wieśniacy, drwale. Jest tam także syn Tiburzia, który ,,ściągał podatki''.

DOCHODY PREZYDENTA STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

Mylnem jest przekonanie, iż prezydent Stanów Zjednoczonych pobiera 50,000 dolarów. Suma ta jest, rzec można, osobistem honoraryum pierwszego urzędnika w państwie. Nadto otrzymuje on 36,064 dolarów na utrzymanie biur. Z tego sekretarz prywatny pobiera 3250 dol., pomocnik jego 2250 dol., stenograf 1800 dol., pięciu woźnych 1200 dol., kucharz 1200 dol., dwaj szwajcarzy przy drzwiach po 1200 dol., cała służba opłacona jest kosztem państwa aż do ogrzewającego Biały dom palacza, który otrzymuje za to 864 dolarów. Po za tem otrzymuje prezydent na dywany, materyały piśmienne itp. 8000 dolarów rocznie, dalej 12,500 dol. na węgiel i drzewo, 4000 na oranżeryę, 15,000 dol. na stajnie, oświetlenie gazowe i inne drobiazgi. Ogółem prezydent ma rocznie 125,000 dolarów, co nie jest zbyt wygórowaną sumą, gdy się weźmie pod uwagą, iż mulutka stosunkowo Francya daje swojemu prezydentowi 600,000 fr. i tyleż na reprezentacye, co na amerykańskie pieniądz czyni 240,000 dolarów.

DZIECI YANKESÓW.

Mieszkańcy ,,nowego świata'' pod względem dojrzałości, o ile się zdaje, rozwijają się znacznie wcześniej, mogą bowiem nawet w dziecięcym wieku spełniać urzędy, którychby w starym świecie nie poważył się nikt powierzyć niepełnoletniemu. Tak np. niejaki Vance Hjelm z Cottonu jest niewątpliwie najmłodszym telegrafistą na świecie. Ma on dopiero 11 lat, a pomimo tego zajmuje stanowisko telegrafisty i potrafi poradzić sobie zarówno z wysłaniem, jak i z przyjęciem każdej depeszy. W każdym razie zwierzchnikom nie wydaje się to wcale nadzwyczajnym i są z ,,młodego'' urzędnika zupełnie zadowoleni. W miejscowości South Atchison (w stanie Kansas), dwóch chłopców, niemających jeszcze skończonych lat jedenastu, prowadzi gospodarstwo mleczne, posługując się pięcioma krowami, wozem i końmi i odstawiają mleko handlarzom. Co szczególniejsze, iż chłopcy owi zaczynali z jedną krową, reszta zaś jest już ich czystem dorobkiem. W Denison (w stanie Texas) istnieje szestnastoletni chłopiec, który powozi, jak skończony woźnica, pije whisky, jak Irlandczyk, z pistoletu strzela, jak Indyanin, a klnie, jak stary marynarz.

WALKA POD WODĄ.

Wychodzący w Marylii znany dziennik ,,Petit Marseillais'' doniósł w tych dniach, iż dwaj nurkowie z profesyi, sycylijczycy Cappodo i Rado, stoczyli z sobą walkę na dwanaście metrów pod wodą, w pobliżu latarni morskiej Sancta Maria. Rzecz prosta, iż policya wdała się w tę sprawę i pociągnęła zapaśników do odpowiedzialności. Okazało się wówczas, iż nurek Cappodo spuścił się pierwszy na dno morza, w celu sprawdzenia, czy czółno z węglem, króre zatonęło, nie daloby się wydostać. Nurek Rado poszedł za jego przykładem dla dokonania tegoż samego zadania. Prawa, obowiązuje nurków, przyznają pierwszemu, który zapuścił się w głąb morską, niezaprzeczoną własność wszystkiego, co na przesztrzeni 30-tu metrów zdoła zoczyć i wydobyć. Gdy więc Cappodo zoczył pod wodą nurka Rado, zwrócił się doń z rozkazem: ,,Pozwól mi swobodnie pracować''. Na to usłyszał odpowiedź: ,,Ja także chcę pracować!'' Wobec tego, obaj współzawodnicy rzucili się na siebie i powstała walka, której szczegóły łatwiejby pewnie było odmalować, niż opisać. Dość, że nagle na łodzi, z której się nurkowie spuszczali, dał się słyszeć dzwonek alarmowy Cappoda, a gdy go w ślad za tem na powierzchnię wyciągnięto, był już bliskim zgonu, woda bowiem, napływająca przez przeciętą rurę, doprowadzającą mu powietrze, mogła go była zadławić. Ostatnim wysiłkiem, jak zeznał, pociągnął za linkę od swego dzwonka—i to go tylko ocaliło. Rado ze swej strony oświadczył, iż Cappodo, ujrzawszy go pod wodą, rzucił się na niego z nożem i przy zamachu sam przeciął rurę, doprowadzającą powietrze. Jak tu wobec tego mogą sędziowie dojść prawdy, gdy jedynymi świadkamy tego zajścia były ryby, raki i w ogóle ta niezmierna liczba wszelakich mięczaków, jaką kryje w swych głębiach morze Śródziemne? Znaleźli więc ucieczkę w sądzie salomonowym i... obydwu zapaśników skazali na karę pieniężną po sto franków.

NAJMŁODSZY REDAKTOR.

W sali redakcyjnej paryskiego ,,Figara", wywieszono teraz fotografię najmłodszego na kuli ziemskiej redaktora. Jest nim czternastoletni Tello d'Apery. Jest on synem rodziców francuskich mieszkających w Nowym Yorku. Dziennik swój wydaje po francusku i angielsku, a założył go już przed czterema laty w celu filantropijnym. Otrzymawszy od towarzyszów szkólnych pozwolenie użycia ich drobnych oszczędności na rzecz biednych, kupił on obuwia dla małych współobywateli. Później powstał ,,klub bosych", którego powodzenie było tak wielkie, że można było założyć dziennik. Dochody przeznaczono na zbudowanie przytułku dla małych biedaków.

NAJWIĘKSZY DYAMENT.

Sława Kohi-Noorów, Regentów, Orłowów oraz innych niezwykle pięknych i dużych djamentów zblednąć musi wobec olbrzyma, nowo odkrytego w Afryce południowej w wolnem państwie Orange, w miejscowści Jagesfontein. W dniu 30 czerwca Kafer pewien rozmawiając z dozórcą spostrzegł, że w pobliżu świeci się coś na ziemi. Przykrył to stopą, a gdy argus odszedł, odgrzebał ogromny kamień wysokości około 3 cali, szerokości około dwóch. Waga jego wynosi 971 karatów. Cena przewyższy wszystko, co dotąd płacono za dyamenty. Kafer sam później oddał to przedsiębiorcy. Otrzymał wzamian 150 f. szt. konia, siodło i w uszczęśliwieniu ogromnem powrócił do domu.

Ciekawem, że jakieś towarzystwo dzierżawiło kopalnię z prawem kupienia na wagę karatów wszelkich kamieni. Umowa kończyła się 30-go czerwca r. b. olbrzymi ów dyament był ostatnim prawie kamieniem, znalezionym dnia tego. Właścicielom ofiarowywano już za niego 50.000 f. szt. t. j. ćwierć miljona doll. sądzą jednak niektórzy, iż cena dojdzie 5-000.000. Kamień odznacza się barwą biało niebieską i jest prawie zupełnie czysty. Znajduje się na nim mała plamka czarna, która jak zapewniają zniknie przy szlifowaniu. Obecnie kamień znajduje się w Londynie.

WELOCYPEDY.

Szybko i nadzwyczajnie rozwijąca się jazda na welocypedach, podała sposobność p. A. Michelin do odczytu, w Paryżu w Towarzystwie ,,Societe des ingenieurs civils''. Niewątpliwie też i dla naszych czytelników odczyt ten będzie zajmującym i ciekawym. Streszczamy go o ile na tem sama całość nie straci. Naprzód tedy p. Michelin wskazał na ogromny popyt bicyklów w całej Francyi i w Anglii. Import welocypedowy zAnglii do Francyi wynosił w roku 1891, oile to da się obliczyć na gotówkę, około 12 milionów franków. Liczba welocypedystów, którzy posiadają własne bicykle dochodzi we Francyi do 300,000, nie wyłączając tych, którzy jeżdżą na welocypedach wypożyczanych.

Anglia wyrabia rocznie od 120 tysięcy do 130,000 welocypedów.

Samo miasto Coventry zatrudnia około 15 tysięcy robotników, wyłącznie zajętych fabrykowaniem bicyklów. Nie do uwierzenia, jaka mnogość dyplomów wydawaną bywa dla wynalazców ulepszających pierwiastkowy typ bicykla. W r. 1891 francuski rząd wydał 350 dyplomów a w r. 1892 w ciągu dziewięciu miesięcy wydano 377 patentów. Liczba ta najwyraźniej przekonywa, że welocyped nie jest wynalazkiem kapryśnej mody, ale przeciwnie przedmiotem wielce użytecznym, którego rosprzsterzniu dopomoże niezawodnie odczyt p. Michelina.

P. Jabuson, jeden z najdzielniejszych welocypedystów Ameryki, ' w pościgu konkursowym z klaczą ,,Nancy Hauks' premiowaną na najpierwszych wyścigach zwyciężył ją stanowczo. Jak stwierdzono, przebył on jedną milę angielską w ciągu minuty i 56 sekund, gdy tymczasem koń wyścigowy przebiegł tę samą przestrzeń w dwóch minutach i 4 sekundach. Welocypedysta Ferront, niezmieniając zgoła bicyklu, przejechał w 71 godzinach tam i napowrót z Paryża do Brestu, przestrzeń wynoszącą 1208 kilometrów. To samo sprawdzono w forsownej jeździe na dystansie Berlin i Wiedeń. Na welocypedzie przebyto tę przestrzeń w dwa razy krótszym czasie niż koń wyścigowy ,,Atos.'' Przy cytowaniu wspomnianych faktów p. Michelin przytacza tablice z nadzwyczaj interesującemi cyframi, z którego wypływa wniosek, że bieg na welocypedzie o wiele przewyższa szybkość pędzącej biegiem kurjerskim lokomotywy po kolei żelaznej. Szybkość jazdy na welocypedzie wynosi w stopniu najwyższym 28 kilometrów na godzinę, (około 16 mil ang.).

P. Michelin tłumaczy tę wyższość welocypedysty nad pieszym w ten sposób, że pieszy oprócz poruszania całego ciała przy każdym stąpnięciu, to jest przy każdym kroku musi się pochylać, gdy tymczasem jadący na welocypedzie jedynie zmuszony jest do poruszania nogami. Łatwo to widzieć można przy marszu pieszych, których głowy to podnoszą się to pochylają, gdy przeciwnie welocypedyści utrzymują się horyzontalnie, nadając kierunek prostopadły nogom.

Oprócz tego ciężar całego ciała welocypedysty rozkłada się na pięć punktów, gdy tymczasem ciężar ciała piechura wspiera się na dwóch, to jest na dwóch nogach.

Drugi główny powód leży w doskonałości samego welocypedu, którego ciężar zmniejszony do minimum. Budują już obecnie bicykle, ważące zaledwie jednę dziesiątą część ciężaru równego ciężarowi całego ciała jadącego, dalej przyczynia się też do szybkości i bardzo nieznaczne tarcie aluminium, z którego welocyped jest wyrobiony. Ponieważ budowa welocypedu jest kształtu kulistego, tarcie to o grunt jest prawie nieznaczne, sprowadzone do zera. Nadzwyczajne ulepszenia w tym razie przedstawiają pneumatyczne bandaże uzbrajające doła welocypedu. Są to rury wypełnione ścieśnionem powietrzem, jakie w rodzaju materacyków obejmują powierzchnię koła, a mające średnicy od 4 do 5 centymetrów. Nie tylko zmniejszają drżenie nerwowe jeźdźca, ale nadto pochłaniają nacisk wygórowań gruntu i wszelkich przedmiotów, o których uderzenie mogłoby spowodować utracenie równowagi jeźdźca w czasie jazdy.

WETERAMI Z WOJEN 1813—15.

Przełożony niemieckiego związku wateranów, mającego siedzibę w Berlinie, sformował obecnie listę żyjących dotąd weteranów z wojen 1813—15 roku. Weteranów tych jest jeszcze 43-ch, a lata ich urodzin padają na czas od 1786 do 1797 roku. Najstarszymi z nich są: zegarmistrz Gohring w Ottensen (w Holsztynie), ur. 1786 r., oraz Wygold w Velbert nad Renem, ur. 1789 r. Na Szlązku zamieszkują: nauczyciel Gitschman w Seintendorfie, ur. 1797; Kugler w Wolmsdorfie, ur. 1796; krawiec Józef Rose w Schreckendorfie, ur. 1796; Wilhelm Schutz w Warmbrann, Fryderyk Kaizen, ur. 1794 i Andrzej Wyczik w Tarnowicy, ur. 1790 r. Dalej 10-ciu wateranów mieszka w Pomeranii, 8-miu w Hanowerze, 4-ch w prowincyach nadreńskich. W Berlinie mieszka jeden tylko, Chrystyan Muiller, urodzony 1795 r. Z oficerów żyje jeszcze dwóch tylko: pensyono-

wany generał Muiller w Hanowerze i pensyonowany pułkownik v. Holtzendorf w Saksonii.

NAPAŚĆ JELENIA.

,,Konigsberger Allg. Ztg.'' donosi, iż w wiosce Krekollen, około Bartenstein, w Prusach wschodnich, jedna z wieśniaczek miejscowych została w tych dniach przez jelenia napadniętą i śmiertelnie pokaleczoną. Kobiecina ta udała się do miejscowego lasu dla zbierania jagód, a gdy zbliżyła się do gęstszych zarośli, wyskoczył z nich najniespodziewaniej duży jeleń i nie wahając się ani chwili, uderzył na kobietę, bodąc ją rogami zawzięcie. Na krzyk nieszczęśliwej, leżącej już na ziemi, zbiegli się ludzie i dopiero na ich widok jeleń opuścił swoją ofiarę. Poranioną musiano zanieść na noszach do domu a przywołany lekarz wątpi o utrzymaniu jej przy zdrowiu. Fachowi myśliwi utrzymują, iż kobieta owa prawdopodobnie zbliżyła się do legowiska, w którem znajdowały się właśnie młode wraz z matką, jeleń zaś bronił tylko swego potomstwa.

ROZBITKI.

Do Chrystyanii przybyła w tych dniach znaczna część załogi parowca norweskiego ,,Arctic'', który rozbił się w d. 8-ym czerwca około Jan Mayen, na północ od Islandyi. Był to niewielki statek, przeznaczony do połowu, uratowana zaś jego załoga musiała spędzić 15 dni w otwartych czółnach na morzu Lodowatem, zanim nareszcie dotarła do Islandyi, gdzie znalazła ocalenie. ,,Arctic'' wypłynął w d. 6 marca z Tonsbergu w Norwegii, udając się na połów na morzu Lodowatem W d. 8-ym czerwca, podczas gęstej mgły, wpadł na mieliznę w południowo, wschodniej stronie Jan Mayen i rozbił się do szczętu, tak, iż załoga, złożona z 29-iu ludzi, musiała w sześciu czółnach szukać ocalenia. Niebawem jedno z czółen, na domiar nieszczęścia to właśnie, na którem znajdował się główny zapas zabranej ze statku żywności, nadto zaś ubranie załogi, wywróciło się — i tylko siędzących w niem zdołano uratować. Wobec tej nowej katastrofy, wszyscy pozostali w tem tylko, co mieli na sobie, byli więc prawie pół nadzy, z prowiantów zaś zostało im tylko trochę piwa, twardego chleba, margaryny i pekeflejszu, tego ostatniego atoli postanowili nie używać, aby nie obudzać pragnienia. Kapitan rozdzielił wszystkich na cztery czółna, wyznaczając dla każdego po odrobinie żywności, piąte zaś puścił samopas z falami. Mała ta flotyla poczęła przez kilka dni żeglować za statkiem ,,Ishavet'', którego dym z komina widziano na horyzoncie. Gdy nakoniec mgła zrzedła, dostrzeżono, iż statek ów o całe 10 mil morskich jest od nich oddalony, nie ma zatem nadziei, aby go dogonić mogli. Rozpacz wówczas ogarnęła wszystkich. Tylko kapitan Gjertsen, człowiek 32 letni, ale zaprawiony już w połowie wielorybów, sam jeden podtrzymywał odwagę rozbitków. Postanowiono jeden jedyny zabrany ze statku żagiel rozdzielić na cztery części, przymocować na statkach i kierować się ku wyspie Islandyi. Podczas tej drogi rozbitkowie straszne znosili męczarnie. Piwo wypili niebawem, chleb rozmókł i stał się niezdatnym do jedzenia, pragnienie zaś gasili łowionemi obok czółen kawałkami lodu, nadto, w przemoczonych od deszczu i wody morskiej lekkich ubraniach dygotali od zimna. Przebijając się z trudem przez lodowce, dotarli wreszcie na swych czółnach, po czternastodniowej męce, do położonej na północ od Islandyi a zamieszkałej wysepki Grimso, gdzie wyczerpanym z sił pospieszono z pierwszym ratunkiem. Nazajutrz czterech, zapadłych na gorączkę, musiano odwieźć do szpitala w Akureyri na Oefjord, reszta jednak, dzięki niespożytej naturze norweskiego rybaka, przebyła te trudy prawie bez szwanku, przeżeglowawszy w ciągu 15-tu dni około 180-iu mil morskich.

ŻARTOWNISIE.

W Haynau, jak donosi ,,Schlesische Ztg.'', skazano niedawno dwóch miejscowych obywateli na karę pieniężną po trzy marki, za to, że o północy, zająwszy miejsce przy zbiegu dwóch ulic, naśladowali niedźwiedzi. Jednego z nich policya ponownie skazała w tych dniach na trzy marki kary, tym razem za to, że przy powrocie do domu, zakłócał spokój nocny ,,nadzwyczajnem kichaniem''. Skazany nie przyjął już jednak wyroku w pokorze, mówiąc, że trzeba najprzód dowieść, iż ,,nadzwyczajne kichanie'' mąci spokój nocny. Utrzymuje przytem, że ma już taką naturę, iż gdy zacznie kichać, nie ma temu końca.

ANEGDOTY.

PRZY PIWKU.

Pan Jacenty: Cóż tu słychać mój Jankielku?

Jankiel: Kiepsko, panie, tylko mi po trzy beczułki piwa dziennie odchodzi.

P. Jacenty: Na to dam ci doskonałą radę.

Jankiel: Ny! a jaką?

P. Jacenty: Dolewaj zawsze kufelki do pełności, to ci zaraz więcej beczułek piwa wyjdzie.

Jankiel: Pan ma wielką mądrość jak widzę. A teraz niech się też pan mnie o co zapyta.

P. Jacenty: I owszem! Powiedz mi Jankielku, czego ja tak od niejakiego czasu tyję, a ty chudniesz widocznie?

Jankiel: Dla czego pan Jacenty tyje, to ja nie wiem, ale dla czego ja chudnę, to wiem; bo ja z psieprosieniem pana, co zarobię, to nie chowam do brzucha, a przez to i brzuch mi nie rośnie.

Do fotografa przychodzi kobieta i mówi:

— Czyby pan nie mógł mi zrobić fotografii zmarłego męża?

— Chętnie, zapewne posiadasz pani jaki portret męża?

— Tego nie—odpowiedziała kobieta—ale mam z sobą jego paszport.

Lokator wypada z krzykiem: Cóż to za mieszkanie pan mi wynająłeś! W piwnicy pełno wody!

Gospodarz: A czy paneś się spodziewał wina?

ZE ŚWIATA.

Z POD ZABORU ROSYJSKIEGO.

Regulacya granicy.—Z Sosnowic piszą do „Now. Wremia“: Jeszcze w miesiącu sierpniu roku zeszłego utworzyła się komisya, złożona z rosyjskich i niemieckich deputatów, mająca na celu uregulowanie granicy państwowej nadrzecza Brynicy, według danych z r. 1835, gdyż rzeczka ta w przeciągu ostatnich lat pięćdziesięciu kilkakrotnie zmieniła swój bieg. Ztąd zachodziły niejednokrotnie nieporozumienia między mieszkańcami pasa granicznego o nadbrzeżne grunta. Komisya ukończy prace swe w roku bieżącym.

Z Królestwa Polskiego piszą, że dnia 26 sierpnia nad wsią Damenty, gminy Czerwin, przeleciała burza połączona z huraganem, który literalnie zniszczył wieś całą. Z dwudziestu domów nie ocalał ani jeden: straszny wicher pozrywał dachy, poprzewracał kominy, a ramy okien powyrywał z zawiasami; wiele domów zrujnowanych jest zupełnie, zaś wszystkie budynki gospodarskie zniszczone do gruntu. Obecnie Damenty przedstawiają stos zwalisk. Okoliczne pola z nieżżętem jeszcze zbożem robią wrażenie pustyni, usianej zerwaną ze strzech słomą, odłamkami krokwi, desek, drzew itp. Wypadków z ludźmi nie było, dzięki temu, że podczas szalejącej burzy wszyscy prawie mieszkańcy wsi znajdowali się na robocie w polu, ci zaś co byli w domach, starsze kobiety i dzieci, widząc zbliżającą się nawałnicę, schronili się razem wszyscy w jednej chacie, która jakby cudem ocalała właśnie, gdy wicher zerwał z niej tylko strzechę i powyrywał okna,—ściany zostały nienaruszone. Tak więc cała wieś jest dziś bez dachu i chleba. Ta sama burza przeciągnęła jednocześnie i nad wsią Jarnuty, tam jednak nie zrządziła żadnych szkód; opowiadają tylko, że tegoż dnia z Jarnut wicher porwał i uniósł, niewiadomo dokąd, dwóch chłopców, 6 i 12 to letniego.

W Parku Ujazdowskim pod Warszawą ma być utworzona sztuczna sadzawka. Drzewka, zasadzone w roku zeszłym i w roku bieżącym, przyjęły się dobrze, wskutek czego przypuszczają, że w jesieni r. 1894 park będzie gotów.

Stary obraz. — Dnia 11 zm. wysłano z Warszawy do Łodzi obraz Wniebowzięcia Matki Boskiej, który odsłonięty był 15 zm. w wielkim ołtarzu nowo-zbudowanego kościoła w Łodzi pod wezwaniem Wniebowzięcia P. M. Obraz ów znaleziono w stanie bardzo zniszczonym, na poddaszu starego kościoła. Okazało się, iż malowidło owo jest pędzla słynnego malarza z XVIII-go wieku. Obraz powierzono do odrestaurowania warszawskiemu artyście, p. L. Biedrońskiemu, który po żmudnej pracy przywrócił niemal pierwotny wygląd obrazu. Płótno jest 5 łokci wysokie, zaś trzy szerokie. Z kompozycyi rysunku widać, że obraz niegdyś był znacznie większy i zapewne przy stosowaniu do ołtarza zmniejszono jego rozmiary. Pomimo to ma wartość niepoślednią.

Kradzieże wołów. — Z okolic Żytomierza donoszą: Praktykowane dotychczas koniokradztwo ustąpić musiało drugiej profesyi, a mianowicie kradzieży wołów. Pierwszeństwo pod tym względem przyznać należy mieszkańcom wsi Weresy, o 8 wiorst od Żytomierza odległej. Zmianę w wyborze łupu wytłómaczyć sobie można tem, iż obecnie sprzedać konia trudno, a wołu w ostatnim razie... zjeść można. Niedawno zaszły wypadek kradzieży najlepiej objaśni śmiałość amatorów cudzej własności. Do jednego z właścicieli podmiejskiego folwarku zgłosił się w tych dniach włościanin z Weres z parą młodych wołów, prosząc, aby je przyjął na paśnik, lub kupił na własność. Właściciel kupił woły, wręczył połowę pieniędzy, a resztę należności przyrzekł odesłać nazajutrz. Na drugi dzień zjawił się tenże włościanin z dwoma rzeźnikami i chciał woły im sprzedać, ale właściciel nie zgodził się na zerwanie umowy i resztę należności wypłacił. W parę dni okazało się, że woły były kradzione, odebrano je, a gdy właściciel folwarku chciał poszukiwać swej straty, dowiedział się, że już owego włościanina aresztowano, a cała jego rodzina, znana z złodziejstwa, zesłaną jest na osiedlenie.

Z POD ZABORU PRUSKIEGO.

W Ełku przy ćwiczeniach na lance pewien ułan pchnął swego przeciwnika tak gwałtownie lancą w piersi, że tenże spadł z konia i na miejscu żyć przestał. Zabity nazywa się Thamson i służył drugi rok w wojsku.

Z Człuchowskiego donoszą, że tam biedni ludzie nadzwyczaj dobry i niespodziewany mają zarobek, że dwóch handlarzy z Hamburga się tam osiedliło, którzy skupują czarne jagody. Płacą dobre ceny i tym sposobem robią oni, jako i ludzie dobre interesa. O ile wiadomo, wysłano już z tej tu okolicy za 10,000 mr. jagód do Francyi, gdzie z nich robią czerwone wino, które potem za drogie pieniądze do nas znów przychodzi.

Z Lubawskiego.—Jak niebezpiecznie jest nosić bieliznę gumową, podaje następujący wypadek. Pewien syn właściciela, przybywszy do rodziców na wakacye, zapalał wieczorem lampę i zanadto zbliżył się z mankietami do niej, które się zapaliły. Zanim zdołano ogień przytłumić, odniósł nieborak tak ciężkie rany, że lekarz obawia się, aby palce u prawej ręki nie pozostały sztywne.

Czersk. — Nowe beczki z jednego kawała bez obręczy wyrabiają się w tutejszej fabryce z drzewa brzozowego. Beczki te są daleko tańsze od dotychczas wyrabianych i wytrzymuję próbę siły 6 atmosfer. Wynalazca ma otrzymać patent.

Z POD ZABORU AUSTRYACKIEGO.

Śmierć głodowa.—Robotnica Anna Mikloss w Nowosielicy, na Bukowinie, udała się w dniu 26-ym zm. do piwnicy, lecz zatrzasnęła za sobą drzwi tak silnie, że ich otworzyć nie zdołała. W dniu 1-ym bm. ktoś z domowników do piwnicy, znalazł nieszczęśliwą martwą. Zmarła z głodu.

Z Zakopanego donoszą: Żandarmi węgierscy aresztowali na gruncie neutralnym leśnego dóbr zakopańskich, Dziadonia, bez przyczyny i okutego w kajdany odstawili do Starej Wsi na Węgrzech. Wypadek ten wywołał w Zakopanem wielkie oburzenie. W tych dniach nad Morskiem Okiem bawiła węgierska komisya wojskowa.

W połowie zm. straszna powódź nawiedziła Galicyą. Wskutek ulewnych deszczów wezbrały rzeki i zalały olbrzymie obszary podgórskie, zrządzając niepowetowane straty w plonach i dobytku. Dzienniki lwowskie i krakowskie przepełnione są opisami klęski, która już poraz drugi w tym lecie nawiedziła Galicyą. Ruch kolejowy przerwany na wielu liniach; ofiar w ludziach bardzo wiele. Szczególnie wylała rzeka Stryj, San i Dunajec. Najwięcej ucierpiały Stryj, Przemyśl, Zagórz i Turka. Z Turki woda zabrała kilkadziesiąt domów, przeszło dwieście zawalonych i zniszczonych.

Kurtyna w nowym teatrze krakowskim. — Henryk Siemiradzki, listem pisanym z Rzymu do prezydenta miasta p. Friedleina, doniósł, że kurtyna do nowego teatru jest już na ukończeniu i tylko boczne fałdy, malowane przez jednego z sławniejszych dekoratorów rzymskich są jeszcze do uzupełnienia. Magi-

strat przesłał na ten cel 5000 zlr., jako drugą ratę umówionej kwoty; wkrótce kurtyna przysłaną będzie do Krakowa.

Z INNYCH STRON.

Połączenie W. Brytanii ze Stanami Zjednoczonemi, podług planu p. Cornegie. — Od miesiąca we wszystkich kołach inteligencyi angielskiej budzi żywe zajęcie kwestya połączenia Wielkiej Brytanii ze Stanami Zjednoczonemi Ameryki północnej. Jestto—nie potrzebujemy zapewne uprzedzać czytelników—utopia, ale jedna z tych utopij, która po obu stronach Atlantyku, wśród całej rasy anglo saskiej, znajduje grunt moralnie przygotowany, odpowiada poczuciu solidarności plemiennej i łechce wszystkie instynkta przyszłości potęgi państwowej.

Okazyą do tego postawienia kwestyi na porządku dziennym był artykuł p. Andrzeja Carnegie p. t. „A look ahead", wydrukowany w wielce rozpowszechnionym „North American Review", Od chwili, jak go telegraf tutaj obwieścił, mówić o nim nie przestają.

Pan Carnegie jako szkocki robotnik wywędrował przed 40 laty do Stanów Zjednoczonych, dorobił się majątku, który szacują na 20 milionów dolarów, jest współwłaścicielem słynnych fryszerek w Homestead, gdzie wybuchła w roku zeszłym owa zmowa robotnicza i walka, o której cały świat mówił z oburzeniem i grozą. Pan Carnegie jest autorem kilku dzieł socyologicznych, a między innemi „Triumphant Democracy", które jest entuzyastycznym hymnem na cześć Ameryki republikańskiej. Będąc praktycznym filantropem, jest on także zdania, że rodzice nie powinni pozostawiać spadków dzieciom i sypie swe miliony na szczodrobliwe datki, fundując bez przerwy biblioteki, szpitale etc. w Szkocyi i Ameryce. Dodajmy nawiasem, że będąc bezdzietnym, nie ma potrzeby stawać w sprzeczności ze swemi teoryami abstrakcyjnemi.

Będąc gorącym miłośnikiem kraju, który go zbogacił i dał mu wykształcenie, p. Carnegie pragnie połączenia go z Wielką Brytanią. Nieraz już w ostatnich czasach pisarze angielscy przemawiali za taką unią, wychodząc z zasady, że skoro jedyna przyczyna, która rozdwojenie wywołała za smutnej pamięci Jerzego III go, niesłuszne opodatkowanie — jest już oddawna rozstrzygnięta w myśl samorządu opodatkowanych obywateli i prowincyj, zatem nic nie staje na przeszkodzie połączeniu się ponownemu dawniejszych siostrzyc. Ale pod piórem każdego z angielskich pisarzy unia ta przybierała naturalnie formę powrotu Stanów Zjednoczonych pod berło brytańskie.

Inaczej p. Carnegie. Przypomina on naprzód istniejącą jednolitość języka, literatury, religii, praw, zwyczajów, a przedewtzystkiem wspólność interesów pomiędzy obu narodami, w imię cywilizacyjnych zadań rasy. Kładzie dalej nacisk na to, że przy zasadzie wolnej wymiany handlowej przemysł angielski odrazu znajdzie dla siebie nieograniczony rynek handlowy. Co do Stanów Zjednoczonych, to samo powiększenie ich terytoryum przez Kanadę, byłoby pod względem ekonomicznym więcej, niż kompensatą, za osłabienie niektórych działów wytwórczości przemysłowej. Dalej, w przekonaniu, że W. Brytania, po udzieleniu samorządu Irlandyi, nada go także Szkocyi, Walii i Anglii, że w każdym z tych krajów będzie sejm prowincyonalny, zamiast obecnego wspólnego parlamentu, przenosi takowy z Londynu do Washingtonu i czyni z tego miasta urzędową stolicę całego anglo-saskiego świata.

Pan Carnegie pozwala królowej Wiktoryi dokonać swego żywota bez zmiany, ale odwołuje się do jej wielkiego umysłu i radzi, ażeby zamiast przekazać swój tron synowi i wnukom, poleciła im federacyę ze Stanami Zjednoczonemi. Obiecuje jej w historyi miejsce jedyne—postawienie jej na tej wyżynie, co Washingtona, fundatora Amerykańskiej Rzeczypospolitej, a imię Wiktoryi ma zaćmić swym blaskiem wszystkie inne.

Nieraz już utopiści zadziwiali nas rozmiarami swych złudzeń, ale nie często dochodziły one do granic obecnych. Możnaby całą tezę tę potępić dla tego jednego zasadniczego argumentu i nie omieszkają też tego czynić wszyscy praktyczni politycy. Ale nie można się łudzić: myśl ta nie wywołuje śmiechu wśród szerokich warstw narodowych w Anglii; przeciwnie— jest nader sympatycznie przyjmowana. Zwróciliśmy na nią uwagę nietylko dla wybitnej indywidualności autora i interesu chwilowego, ale dlatego jakie wrażenie wywarła w szerokich kołach.

Grecya. — W najwęższem miejscu na przesmyku zwanym Istmus, w bliskości miasta Koryntu, przekopano kanał, połączono w ten sposób ze sobą dwa morza, tak jak przez kanał suezki Dnia 15 zm. odbyło się uroczyste otwarcie kanału w obecności pary królewskiej i wielu dostojnych gości.

Walka o napisy. — W Pradze wybuchł między władzami miejskiemi a krajowemi zatarg o napisy nazw ulic. Jak donoszą z Pragi, uchwaliła rada miejska, iż umieszczane na rogach domów napisy ulic w dwóch językach, czeskim i niemieckim, należy zastąpić napisami w jednym wyłącznie języku czeskim. Otóż namiestnictwo wstrzymało wykonanie tej uchwały, nakazując pozostawienie, względnie umieszczenie napisów w obu językach krajowych, czeskim i niemieckim. Namiestnictwo motywuje rozporządzenie swoje tem, że Praga jest stolicą kraju, zamieszkałego przez dwa szczepy i że w samem mieście Niemcy stanowią wprawdzie mniejszość, ale zawsze w poważnej tam są zamieszkali liczbie; rozporządzenie namiestnictwa powołuje się na art. XIX. konstytucyi o równouprawnieniu języków.

Eksplozya bomby.—Rzym, 27 sierpnia.—Dzisiaj wieczorem o 11-tej godzinie eksplodowała w pobliżu pałacu Altieri bomba. W pałacu Altieri odbywają się posiedzenia sądu apelacyjnego i klubu gwardyi papieskiej. Kilku członków klubu było w pałacu obecnych, gdy eksplozya nastąpiła, i usłyszawszy huk, wybiegli natychmiast na ulicę, celem zbadania powodu tegoż. Na ulicy znaleźli wijącego się z boleści mężczyznę i koło niego kawały bomby. Cała szkoda, jaką ta bomba spowodowała, polegała na poranieniu owego mężczyzny, którym jak się wykazało był młody żurnalista Guiseppe Riccini. Co go do tej zbrodni spowodowało i czy on sprawcą tejże był, dotąd niewiadomo. Riccini jest ciężko ranny i lekarze wątpią, aby mógł żyć. Na wieść o zamachu tym zebrała się ogromna moc ludu, której policya w porządku utrzymać nie mogła i dlatego wojsko do pomocy zawołała.

Francya.—Z Paryża donoszą, że w mieście Bourges w wielkiej tamtejszej fabryce powstała 23 zm. ogromna eksplozya, z powodu czego straciło życie kilkunastu robotników, a kilkunastu zostało ciężko poranionych.—W miejscowości Mont Valero pod Rouen wybuchł ogromny pożar. Spaliło się doszczętnie kilkanaście pięknych kamienic. Kilka osób żywcem zgorzało. Szkody są bardzo wielkie. Pomiędzy mieszkańcami panuje straszny popłoch i zamięszanie. Przeszło 500 rodzin znajduje się obecnie bez dachu nad głową. Pomoc spieszna jest niezbędnie potrzebną.

Rzym. — Ojciec św. pracuje obecnie nad wydaniem nowej Encykliki papieskiej do mocarstw chrześciańskich. Ojciec św. chce podnieść w nowej swej Encyklice, że własność każdego jest świętą i nietykalną, że jednak ubodzy mogą w potrzebie żądać pomocy od bogatych. Pomoc ta nie powinna przecież być dawaną w formie jałmużny, ale w takiej formie, że bogaci starać się winni o to, ażeby biednym dać zatrudnienie. Dalej chce Ojciec św. podnieść i to, że kwestya socyalna winna się opierać na zasadach religii, bo jedynie religia chrześciańska jest silną warownią porządku społecznego. W Encyklice ma także Ojciec św. poruszyć strejki i zaznaczyć, że nie są one niczem dobrem. Należy także urządzać instytucye dla biednych i chorych i starać się więcej o ochronę kobiet i dzieci pracujących w fa-

brykach. Te są najważniejsze punkta, jakie Ojciec św. w nowej swej Encyklice zamierza poruszyć.

Anglia.—W parlamencie angielskim pobili się posłowie nie na żarty. Jeden z posłów usiadł nie na swojem miejscu i za to chwycił go jeden z posłów za kark i wyrzucił. Przyszli mu w pomoc przyjaciele jego i ztąd powstała bijatyka na wielką skalę. Czterdziestu posłów wzięło w niej udział. Podarli sobie surduty, potrzaskali kije i oczy popodbijali. Nie uszło też bez krwi rozlewu. Takiego skandalu jeszcze w parlamencie angielskim nie było.

Włochy. — Z powodu niesłychanego braku srebrnej i miedzianej monety zdawkowej we Włoszech, poczęły stowarzyszenia prywatne wydawać asygnaty jednofrankowe. Rząd oświadczył, że wystąpi przeciw temu nadużyciu. Na to odpowiada „Riforma": „Jeżeli państwo nie jest w stanie dostarczyć monety zdawkowej, to nie powinno też powstawać przeciw temu, że obywatele sami sobie radzą, jak mogą. Z powodu zawichrzenia w życiu powszedniem, jakie wywołuje brak drobnej monety, rozjątrzenie w Sycylii doszło do tego, że już nie mówią o regionalizmiie (autonomii), ale o separatyzmie (oderwaniu się Sycylii od Włoch). Może to przesada, ale stan rzeczy we Włoszech wcale nie jest pocieszającym."

Umundurowanie. — Niemcy widocznie mają zamiar całe swoje państwo zamienić na koszary wojskowe. Najnowszy projakt rządowy nakazuje umundurowanie wszystkich kelnerów w Berlinie na sposób służby morskiej na okrętach. Mundury mają być szyte z niebieskiego sukna. Oberkelner otrzyma odznakę swej godności przez umieszczenie trzech gwiazdek na kołnierzu, reszta zwykłych garsonów dwie i jednę gwiazdkę.

Schwytano we Wiedniu eleganckie indywiduum, posiadające fałszywy rosyjski paszport na nazwisko „Michała Wołodkina". Policya sądzi, że Wołodkin należy do międzynarodowej bandy zbrodniarzy, i że wraz z czterema innymi popełnił kradzież na poczcie u służącego zakładu kredytowego Spaetha.

Monopol wódczany w Rosyi.— Dzienniki rosyjskie omawiają uchwałę rady stanu, która uzyskała już sankcyę cara, a na mocy której od r. 1895, ma być zaprowadzony na próbę państwowy monopol handlu wódczanego w czterech guberniach wschodnich: pormskiej, ufimskiej, orenburskiej i samarskiej.

Samobójstwa w wojskach europejskich.—Na ten temat często już podnoszono głos publicznie, zawsze jednak brakło dokładnych dat mogących służyć za podstawę, a mianowicie owej statystyki porównawczej, która zestawiając odnośne cyfry z pojedynczych państw, lepiej je uwidocznia. W ostatnim numerze „Frankf. Ztg." znachodzi się notatka, usuwająca owe braki. Niestety, z cyfr tam podanych wynika, że Austrya zajmuje w tem zestawieniu niepoślednie miejsce. W armii austryackiej więcej jest ofiar samobójstwa aniżeli tyfusu lub zapalenia płuc. Liczba samobójstw wzrasta ustawicznie: w r. 1869 przypadało na 100 tysięcy żołnierzy 85— w ostatnich sześciu latach przeciętnie 131 samobójstw. W Niemczech przypada na 100.000 żołnierzy 61 do 67, we Włoszech około 40 wypadków samobójstw. W armii francuskiej zachodzi znaczna pod tym względem różnica między wojskami europejskimi a afrykańskimi; pierwsze wykazują 29, ostatnie 63 samobójstw na 100.000 ludzi. W Belgii przypada na 100.000 ludzi 24, w Anglii 23 (w Indyach jednak 43), w Rosyi 20, w Hiszpanii 14 samobójstw. W Niemczech najliczniejsze wypadki samobójstw zdarzają się w pierwszym roku służby, w Austryi w pierwszem półroczu, a zwłaszcza w pierwszych miesiącach. Między oficerami trafiają się samobójstwa dwa razy tak często jak między szeregowcami. Co do rodzaju samobójstw, śmierć przez zastrzelenie się zajmuje pierwsze miejsce (Francya i Niemcy 50 procent, Austrya 70 do 80 procent.), potem następuje utopienie się i powieszenie. Najliczniejsze wypadki samobójstw zdarzają się w czerwcu i lipcu, najrzadsze w styczniu.

Z AMERYKI.

Sejm „Zjednoczenia Pol. Rz. Kat." Dnia 22 bm. rozpoczął się Sejm Zjednoczenia Pol. Rz. Kat. i trwał przez 3 dni. Pomiędzy innemi uchwalono na „Dom Emigracyjny" kwotę $300, wszyscy członkowie Zjednoczenia mają obowiązek przystąpić do kasy pośmiertnej, na „Dzień Polski" przeznaczono $50, na wzięcie udziału w wystawie Kościuszkowskiej w roku przyszłym we Lwowie $300, przyznano kasyerowi $40 rocznej pensyi.

Do nowego zarządu Zjednoczenia obrani zostali panowie: Józef Kromka z Detroit, prezydentem; Wincenty Jóźwiak z Bay City, wice-prezydentem; Bolesław Straszyński z Milwaukee, sekretarzem; Franciszek Wlekliński z Chicago, kasyerem. Opiekunami kasy obrani panowie: Ignacy Czerwiński, Łukasz Raszkowski, Jakób Mucha, Tomasz Królik i Józef Reich.

Otwarcie Cherokee Outlet. Prezydent Harrison wydał proklamacyę, podług której obwód w terytoryum Indyan znany pod nazwą „Cherokee Outlet" dnia 16 września w południe o 12 godzinie do osiedlania otwarty zostanie. Nowy ten kraj zostanie na 7 powiatów podzielony.

Dnia 22 zm. odbyło się w Chicago zebranie przeszło 100 delegatów unii robotniczych wspólnie z komitetem biznesmanów; jako rezultat tego zebrania zorganizowano „Komitet ulgi i bezpieczeństwa", złożony z 25 robotników i 25 biznesistów.

Pomiędzy biznesistami są: Lyman J. Gage, bankier, Geo.M. Pullmann (kary pałacowe), P. D. Armour (rzezalnia), Marshall Field, kupiec, Potter Palmer i wielu innych najbogatszych obywateli chicagoskich. Komitet ulgi będzie pracował aby znaleść pracę i chleb dla bezczynnych robotników chicagoskich. Jest nadzieja, że do robót przy wielkim kanale odpływowym zostanie dodanych 25.000 robotników, że wielu otrzyma robotę przy publicznych parkach, i że będzie można nakłonić wielu fabrykantów, aby puścili w ruch swoje fabryki bez zwłoki.

Pożar w South Chicago. South Chicago zostało dnia 24 zm. nawiedzone strasznym pożarem, który porównać można chyba z historyczną klęską r. 1871, która zniszczyła całe miasto. Szkody są olbrzymie. Około 25-ciu akrów przestrzeni leży w zgliszczach. Tysiąc ludzi pozostaje bez dachu. Dwieście kilkadziesiąt rezydencyi prywatnych strawiły płomienia.

Maleńka Dora May, zamieszkała przy rodzicach w domu pod nr. 9048 na Superior ave., zabawiała się w podwórku z jakąś drugą dziewczynką rozpalaniem ognia dla zabawki. Znudzone zabawką, zalały ogień wodą—i odeszły. Tu się zaczyna katastrofa. Płomień był źle zalany; za chwilę przeszedł on na suchy parkan, a ztamtąd do kuchni domu pani Colbert pod nr. 149 na 91 ulicy. Odtąd płomienie zaczęły się szerzyć gwałtownie na wszystkie strony.

Drewniane domy płonęły, jak drzazgi. Nie upłynęło godziny i cała ogromna przestrzeń pomiędzy Ontario ave., 91 ul., Standard i rzeką Calumet stała w ogniu. Paliły się drewniane domy mieszkalne, ogromne składy węgla i drzewa, sklepy itd. Dwa kościoły: metodystowski przy 91 ul. i Superior ave., oraz luterański na przeciwnym rogu spłonęły. Usiłowano ratować różne przedmioty, lecz bez skutku. Meble wyrzucano na sąsiednie dziedzińce, lecz i tam przychodził nielitościwy ogień—i niszczył je. Tłumy biegały rozpaczone, tracąc całe swoje mienie.

W liczbie dotkniętych pożarem znajdujemy naszych rodaków: J. Czychaka, Fr. Dąbrowskiego, K. Karetkę i W. Rokowskiego.

New York, 25 sierpnia.—Majtek Stephen Cooper, który spędziwszy cały czas burzy na morzu, dzisiaj do portu wrócił, powiedział, że w czwartek po południu o 5-tej godzinie znalazł mężczyznę trzymającego się masztu rozbitego okrętu; był to jedyny majtek, który się ze załogi rozbitego okrętu „Narragansett" wyratował.

Chas. Kletsberger, który dzisiaj żaglowcem rybackim „Mallinda Wood" do portu przybył, doniósł, że żaglowiec jego w środę wieczorem burza napadła, maszt złamała i pięciu majtków z pokładu zmyła, których nie zdołano wyratować.

Cape May, N. J., 25 sierpnia. — Żaglowiec „E. C. Knight", przywiózł dzisiaj inżyniera Stilwell i majtka Ch. Olsen'a, których łódź no. 7 wczoraj rano zatonęła. Stilwell opowiadał, że tego samego drzewa, którego on się w morzu trzymał, trzymał się pewien majtek, którego jednakowoż siły opuściły i który utonął. Tak Olsen jak Stilwell byli 17 godzin we wodzie. Reszta załogi prawdopodobnie utonęła.

Wykolejenie się pociągu. — Iron Mountain, Mich., 28 sierpnia.—W pobliżu Pembine, małej stacyi kolei Milwaukee & Western wykoleił się jadący na południe pociąg wskutek niezamknięcia zwrotnicy. Lokomotywa, wagon pakunkowy i pocztowy zostały rozbite. Maszynista stracił obie nogi a palacz jest także ciężko ranny.

Wicher. — Savannah, Ga., 28 sierpnia. — Dzisiaj nawiedził miasto i okolice ogromny wicher, który wiele dachów zdarł i 17 osób życia pozbawił. W Typebe straciło podobno także wiele osób życie. Linie telegraficzne są zniszczone.

Z WYSTAWY. Dzień Negrów. Dnia 25 zm. 140.031 ludzi przypatrywało się obchodom dnia murzyńskiego na wystawie. Mnóstwo „kolorowych" mężczyzn i kobiet przybyło ze wszystkich stanów Ameryki, a najwięcej z dalekiego południa. Ludzie ci zachowywali się bardzo przyzwoicie, z godnością, a nawet z pewną dumą. W hali obchodowej wykonano interesujący program, a najlepsi czarni mówcy przemawiali. Mowa Fryderyka Douglas o „Kwestyi w Ameryce" była mistrzowskiem przedstawieniem tej ważnej sprawy zarówno pod względ em logiki jak i krasomowstwa. Pan Douglas delikatnie wyrzucał zarządowi wystawy, że ignorowali rasę czarną, nie dając jej reprezentacyi w składzie dyrekcyi.—Pani Sisseretta Jones, znana pod imieniem „czarnej Patti" śpiewem swoim wywołała burzę oklasków, od słuchaczy, pomiędzy którymi było mnóstwo białych. W ogóle dzień „kolorowy" odbył się porządnie i poważnie.

W sprawie muzeum wystawowego komitet odbył naradę, na której uchwalono pozostawić budynki elektryczności i górnictwa nietkniętemi i użyć ich do przechowania przedmiotów przeznaczonych dla muzeum, dopóki stosowny budynek dla tegoż nie będzie postawionym.

Ruch na wystawie przybiera zdumiewające rozmiary. Wszystkie pociągi przywożą co dzień masę gości, wszystkie hotele są przepełnione.

Oprócz „Dni" narodowych zaczęto teraz obchodzić na wystawie „dni" poszczególnych oddziałów. Program zawsze urozmaicony, przedstawiający codziennie jakąś nową siłę przyciągającą, przyczynia się niewątpliwie do pomnożenia ilości zwiedzających. Z tygodnia na tydzień, z dnia na dzień, urzędowe tabele wystawy wykazują coraz to większą ilość gości. Ubiegły tydzień odznaczył się pod tym względem. Był to pierwszy tydzień, w którym ilość zwiedzających (za opłatą) doszła do miliona.

Od początku wystawy zapłacono dotychczas 9.529.055 wstępów.

Elektryczny aparat do czyszczenia butów — mógł się wyrodzić chyba tylko w głowie jakiegoś Amerykanina. Wpuść 5 centowego nikla w otwór, usiądź w wygodnem krześle, a za parę minut masz buty „wyglansowane" lepiej niż to „kolorowy" chłopak potrafi uczynić.

Prócz tego jest tam mnóstwo innych prawdziwych cudów elektrycznych, których nie widzieć, znaczy to samo co nie widzieć wystawy.

Jawańska wieś została zamknięta z powodu nieporozumień między przedsiębiorcami a prezydentem Higinbotham. Przedsiębiorstwo się nie opłacało, a zarząd wystawy nie chciał ulżyć podatków.

Gubernator Pattison wydał patryotyczną proklamacyę, w której naznacza dzień 7 września jako „Dzień Pensylwański" i wzywa mieszkańców swego stanu do licznego zebrania się na wystawie w tym dniu.

Objaśnienia do rycin.

NA ŁĄCE.

Dzieci wszystkich kochają, wszystko lubią. Dzieci umieją tylko kochać, lub bać się. Najwięcej lubią kwiaty, z któremi tyle mają podobieństwa. Stroją się niemi, wiążą równianki, darzą niemi rodziców lub ubierają w nie ołtarze.

Obrazek nasz przedstawia trzy dziewczynki wśród kwiecistej łąki. Najstarsza prowadzi dwie młodsze. Jedna z nich trzyma w ręce bukiecik, druga niesie koszyk pełen kwiatów i wianuszek. Dziewczątka czyściutkie, białe i dobroć promienieje z ich twarzyczek. Brodzą w trawach zadowalone, szczęśliwe.

ANIOŁ STRÓŻ.

Czyjej opiece matki i opiekunki więcej polecają swoje niemowlęta, jak nie opiece Anioła Stróża? On czuwa nad niemi we dnie i w nocy, on chroni je od wszelkich przygód i niebezpieczeństw, on niewidomie skrzydłem swej opieki je otacza. To też dzieci ledwie pierwsze słowa paciorka za matką nauczą się powtarzać, dodają krótką modlitewkę do Anioła Stróża, z prośbą „aby zawsze przy nich stał"—a ta modlitwa i pamięć na obecność Anioła Bożego ileż razy ochrania ich od złego—a często w późniejszem życiu ochrania od pokus.— Rysunek nasz, wzięty z Kaulbacha, przedstawia śliczną postać Anioła pochylonego nad kolebką i czuwającego nad śpiącem dziecięciem.